

XXVIII OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 29 LISTOPADA 2013 R.



ORGANIZATORZY:

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Lęborskie Centrum Kultury „Fregata”

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku

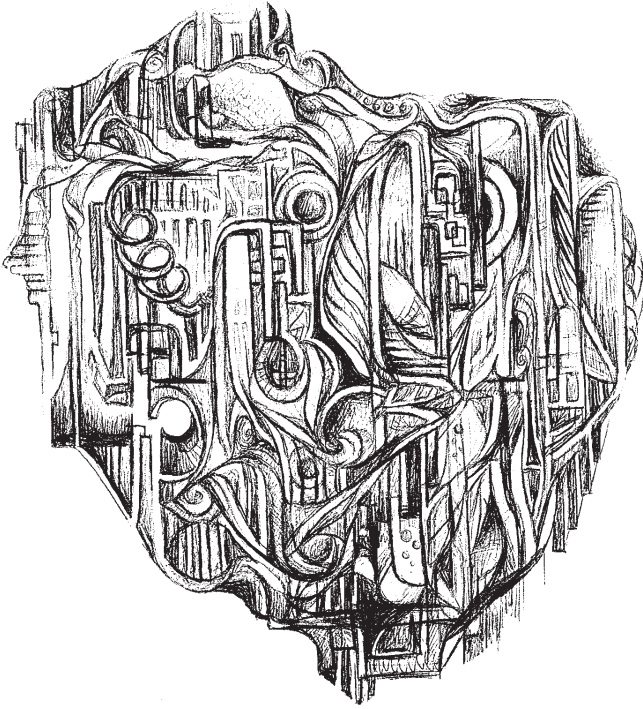


PATRONAT HONOROWY:

MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI
LĘBORK NEWS.PL



* * *

*nie powiesz
że ciebie nie ma
mówisz
nie powrócę
po śladach pamięci
odnajdę twój głos
zapamiętam oczy w liściach drzew
włosy
w splotach traw
tam będziesz*

Mieczysław Stryjewski

JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Daniel Odija

Bożena Ugowska

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Rafał Baron (Gdańsk)

W KATEGORII POEZJI:

I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Czesław Markiewicz (Zielona Góra)

II nagroda Przewodniczącego Rady Miasta w Lęborku
Bartosz Konstrat (Warszawa)

III nagroda
Rafał Różewicz (Wrocław)

W KATEGORII PROZY:

I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Alfred Siatecki (Racula)

II nagroda Przewodniczącej Rady Powiatu Lęborskiego
Sławomir Płatek (Rumia)

III nagroda
Krzysztof Martwicki (Warszawa)

NAGRODY SPECJALNE:

Burmistrza Miasta Lęborka
Małgorzata Borzeszkowska (Lębork)

Nagroda in. Józefa Majkowskiego
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Elżbieta Oyrzanowska (Warszawa)

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Bolesław Bork (Rekowo Górne)

Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Jerzy Hoppe (Rumia)

NAGRODA GRAND PRIX
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

RAFAŁ BARON

WIERSZ

Ten wiersz nie ocali mnie przed światem, głodem i chłodem
jego spojrzenia, nawałnicą historii: przed Armią Czerwoną
wkraczającą do przygranicznego miasteczka, niedobitkami Wehrmachtu,
jedynymi słusznymi koncepcjami na plenum, potem nieomylną
i świętą strategią korporacji.

Ten wiersz nie uchroni mnie przed powodzią pikseli, która zalewa
kolorową kakofonią obrazów w JPG, PDF i mp4, obłądnym galopem
krajobrazów kanałów zmienianych wprawnym kciukiem na pilocie.

Ten wiersz nie ocali mnie przed chorobami: tętniakiem aorty,
jaskrą i grypą, przed suchością w gardle, gdy siedzę w klimatyzowanym
pomieszczeniu biurowca, a wykresy sprzedaży lecą w dół, na łeb
i połamaną puentę.

Ten wiersz nie da mi schronienia w słowach, w ich zakamarkach
i podwójnych znaczeniach, w przyjemnych zawłóściach historii
podmiotu lirycznego, w cieniu wersów i strof. Ten wiersz nie będzie
pęcherzem z tlenem, w którym mógłbym się ukryć
jak w małej, prywatnej światłości.

Ten wiersz jest ze świata; zakamarki między zdaniem prowadzą mnie
na pole bitewne, między chaszczki, gdzie mały chłopiec klucząc
próbuję umknąć. Przerzutnie wyrzucają mnie pod meblóścianką,
w bloku z wielkiej płyty, a metafory zmieniają mnie
w Józefa K.

Wystarczy, że go napiszę, a będzie we mnie tkwił
jak drzazga, odłamek pocisku w mięśniu, nieznośny obraz,
który prześladowuje mnie w nocy. Wystarczy, że go napiszę,
a wyda mnie na świat.

I stanę się ciałem
poranionym przez rozdwojony, szorstki język.

WARSTWY

Dość późno dowiedziałem się o tych, którzy wtedy pytali
dlaczego taki kraj, taka rzeczywistość. Odpowiadano im
serią z karabinów plutonu egzekucyjnego
lub namydloną pętlą stryczka; przedtem
pięścią śledczego, jego krzykiem. Dość późno
odarto mnie ze złudzeń o bezpiecznym raj, u
który wywalczyli pancerni i Kloss.

Wczoraj widziałem książkę „333 ciekawostki PRL-u”
i zastanawiam się, czy syn kiedyś mi powie:
‘Wtedy musiało być czadowo’. Owszem, ale tylko raz,
gdy mieliśmy awarię Junkersa i musiałem wyrąbywać
siekierą drzwi do łazienki, w której zasłabł mój wujek.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że oprawcy
nosili mundury polskich żołnierzy i zabijali
innych polskich żołnierzy w innych mundurach.

A potem zamienili mundury na garnitury i wszystko
zostało przysypane gruzami, na których zbudowano
babilońskie gmachy. Nastal pokój i hałas metropolii,
komórek, laptopów, przeszklonych biur, pracowników
korporacji, czas kodów kreskowych i dziesiątek
supermarketów.

I brodziliśmy w tym jak niczego nieświadomi turyści
ze Śląska pluskający się i podziwający
upstrzone fantazyjnymi grzebieniami z piany
błękitne fale Bałtyku, na którego dnie czają się zapomniane
tysiące ton broni chemicznej wyciekającej do niebieskiej toni.
Wszystko się zmieszało, szybko, nowocześnie
i bez śladu.

I tylko gdzieś głęboko wije się czasem myśl
jak kłębowisko robaków pod odkrytym, przydrożnym kamieniem:
Z ilu takich warstw składa się świat?
Co jeszcze jest pod nami, zapomniane, mordercze,
zepchnięte do ciemnej piwnicy?

Dość późno zaczęło podpływać pod powierzchnię
cienkiego lodu, po którym stąпам.

JEZIORO

Co mówi jezioro? Jakie słowa wypowiada skurczem przepony
z mulistego dna, drganiem strun głosowych z kęp wodorostów,
ruchem powietrza wzbudzonym w polodowcowych bruzdach?
Co mówi jezioro językiem starszym niż korzenie wszystkich olch,
lip i konserwowanych w żywicy wspomnień?

Co słyszy jezioro? Pieśń o rozłamywaniu i kruszeniu
galaktyk jak chitynowych pancrzyków? Skąd ona dochodzi?
Z wczepionej w ziemię rozpadliny czy z nas samych?
Podchwytyją ją skrzela ryb, ciemne otwory popękanych
muszli, wsiąka w lepkie podłoże niespokojnych
snów.

Co widzi jezioro – oko pradoliny zawsze zwrócone do nas? Oko,
z którego nie potrafię czytać ani zgadywać. Dwie jętki?
Przejściową formę nicości, po której jutro nie będzie
ślądu na brzegu ani zmarszczki na powierzchni? Noc
skutą lodem? Głębię bez nas?

Co widzi jezioro, gdy wychodzę na ganek drewnianego domu,
trzymam kubek z gorącą kawą i próbuję
ogrzać nim dłonie?

GENESIS

*Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem: ciemność była nad powierzchnią bezmiaru wód.
Rdz. 1,1-2*

Drogi wśród jezior nie odnalazł ani GPS, ani papierowa mapa, która nijak się miała do terytorium. Oto więc wieczorem dnia pierwszego zostaliśmy stworzeni na nowo – ziemia była nieznanym miejscem na rozlewiskach: jego nadbrzeżnymi zaroślami, poskręcanyimi gałęziami drzew i małą, piaszczystą plażą.

My byliśmy ciemnością. Lustro wody odbijało nas, lecz nie poznawaliśmy tego widoku, albowiem nie było w nim świata, jego terminów, nazwisk, ulic i numerów telefonów.

Zasnęliśmy liżąc tę nagłą samotność jak wilk postrzał. Obudziłem się nagle, gdy w powietrzu wisiał zapach deszczu i zwabionej nocy, która nadeszła przez pola, gniazda i mgły. Przez szczelnie zamknięte wejście do namiotu.

Była mokra i drżąca, dotknąłem jej tak jak dotyka się kogoś po raz pierwszy, niepewny, bez żadnych zabezpieczeń, ochronnej siatki słów, tak jak dotyka się nieznanego, któremu, nie wiedzieć dlaczego, można zaufać.

Tak jak dotyka się innego siebie – ciemności. W niej jest drżący oddech sarny, kryjącej się przez lisami, nabrzmiałe wilgocią łęgi, wlewająca się w nie zimna poświata księżycy i wzburzony muł na dnie, jakby coś chciało się wydostać, oddzielić.

Rankiem dnia drugiego zobaczyłem, że światłość nie została stworzona, albowiem zawsze w nas była. I z niej był świat, jego terminy, nazwiska, ulice i numery telefonów. I z niej była ciemność, w której odnaleźliśmy drogę.

Ciemność, która nigdy nie została oddzielona.

I NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

CZESŁAW MARKIEWICZ

WSZYSTKIE MOJE MATKI

przrzekam że koniec świata nie dopadnie ciebie
samej w oknie. że nie zostaną tylko ślady
łokci na parapecie. że nie będziesz musiała z dalekiej
nieobecności wypatrywać najbliższych. że nie będziesz
musiała tłumaczyć się z kryształowego łabędzia w pokoju
gościnnym. zrozumieć że był przecież ostatnim krzykiem
mody. że nie będziesz musiała zamieniać sopotu na topos
żeby palindromami wypierać marzenia o prawdziwych
wakacjach. że będę miał do końca życia *raka* na twarzy jako karę
za *cofanie się do tyłu*. że zapamiętam twoje cudne tłumaczenia
globalizacji jakoby każda wyrzucona skibka chleba uśmiercała jedno
dziecko w głodującej afryce. że zachowam twoją wiarę że jednym
wierszem można uratować świat. żeby chociaż została z tego
modlitwa.

więc zbieram to jak okruchy ze stołu i rozsypuję tam
gdzie mnie nie było gdy wystawiałaś moją pamięć na próbę
chowając się już nie na niby pod ziemię (...)

OSTATNIE URODZINY OJCA

najpierw był czas na sznapsa przed trzynastą zero
w zachodniej zonie lipskiego dworca. za całe schengen robił
zielony dowód osobisty. potem gmeranie w lędźwiach
przy postękiwaniu jane birkin. przezroczyste skrzypce darryla way'a
w pomaturalnym ogrodzie. bosa dziewczyny zastygłe
w trawie. prześwit w żywopłocie zastawiony parawanem. żeby
nie wtargnął do wyobraźni agresywny błękit. w najgęściej
zakrzewionej części kwitnienie wiadra do którego niewymienialnie
zwracał się pewex. potem księżyc przechadzał się

po godzinie milicyjnej ze skórzanym paskiem pod brodą. po wojnie
bez wojny zostały *zamiast wideł do siana widełczyki do ciasta zamiast*
ziaren śrutu kawior zamiast koktajli mołotowa strumienie krymskiego
szampana - jak donosiły dzieci rewolucji. potem już tylko
antykwariat. wymiana

ciemnego chleba kierca na razowiec. *zaangażowania* na angaż. jakoś
pokryło jakość. albo odwrotnie. w zależności od stanu posiadania albo
metryki urodzenia. teraz wystarczy to wygrzebać z ziemi. podłożyć

pod to ojca i błyskotliwie zadebiutować w dwudziestym
pierwszym roku życia. bo czasy *były marne ale żyło się*
istotnie. jak *lubisz to* powtarzać po kisielu (...)

DZIADEK JAK RÓW MARIAŃSKI

nie ma nic do stracenia. bo nic nie ma. bo wszystko stracił. więc obłąskawia śmierć. rozsypuje pszenicę w sypialni. choć wie że gołębie odleciały na misję. która jest wojną. o pokój. ostrzegał że zamiast stygmatów zostaną martwe motyle i milczenie pszczół. wreszcie

stając przed śmiercią powiedział *to nie jest żart –jestem nieśmiertelny*. pootwierał blizny. a rany już się nie goiły. marzył o błyskotliwej śmierci. jak motyl. chciał umrzeć na stojąco. jak drzewo. po drzewie została kora na twarzy. po motylach święta narodowe. na końcu strach żeby nie okazał się dziadkiem wszystkich tutejszych

na świecie. bo wszystko co najważniejsze zostaje pod ziemią. więc kopie my. a to nie jest skutek lecz przyczyna. choć niebo jest od tego jeszcze bardziej błękitne (...)

TEODYCEA

Świat nowoczesny (...) poniżył śmierć
T.W. Adorno

zanim opanował do perfekcji umiejętność zasypiania
na siedząco chciał być do końca zwyczajnym
drzewem umierającym na stojąco. posłanym łóżkiem
straszył dalszych krewnych

zanim został peryfrazą dziecka wojny światowej chciał być
do końca niepiśmiennym dawcą świadectwa. jednak
nie zapisał ani jednego zdania z lęku przed ujawnieniem
charakteru pisma. podejrzewał że ktoś i tak podpalił
bibliotekę aleksandryjską

zanim padł trupem w centrum
uwagi najbliższych krewnych zanim przestał oszukiwać
głód gumą do żucia z torby pokupnej
wypadła książka. spodziewaliśmy się *potopu*. tymczasem
zostawił niedoczytane zadłużone *minima moralia*

zanim zatopił wzrok w oczodołach
przydomowej matki boskiej chciał być do końca
niewidomym w obawie wymiany spojrzenia z gorgoną

zanim utracił precyzję wrózenia
z obgryzionych paznokci zużytych tamponów pośpiesznie
dogaszonych papierosów chciał być do końca chłopcem
który przeżył z wytatuowanym numerem na przegubie dłoni

na końcu został albo okazał się moim starym martwym ojcem

II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

BARTOSZ KONSTRAT

ZWIERZĄTKO SENSU

kto się rozpycha w brzuchu i rękami macha, ręce wystawia z szybkich samochodów, z pociągów w wietrze, na ostrych zakrętach

i otoczonych lunaparkiem grzechu, świszczących porad i makatek w słońcu?
kto bardziej tonie, chłopcy czy dziewczęta, przeszli

czy przyszli krewni i partnerzy umów bankowych i piramid z piasku,
które ciągle budują na przydługim filmie, którego puentę

stanowią jeże, dwa małe jeże w rozkopanym parku? na czyim karku i na
czyjej głowie było zwierzątko senne i złośliwe, prawie bezzębne

i pomarańczowe lubiące kwiaty, w wodzie leżały czyje okulary, gdy
śmiały najazd rozproszył rodzinę i wpadł do wody chwiejny kamerzysta?
kto się ustawia pod prąd i korzysta

z ramp i lampionów, z cudzych dekoracji, świecących w nocy i poustawianych
jedna przy drugiej we wnętrzu kredensu? zwierzątko sensu!

JĘZYK JEST

język jest linoskoczkiem nad jeziorem śliny, pełnym miłości
karłem, którego spełnienie jest trujące i lepkie, czarne i czerwone, wiszące
na gałęziach

łamliwego drzewa, skurczonego szyderczo krzewu; i byliną sypką, hardą
mąką dla której woda to krwiobieg, kwantowy korytarzyk, ciekawy, ale
wiotko przegrywający

ze stalowym czasem, z czasem reakcji zachłannych sprinterów, pełnych
liturgii dziewcząt, obłych maratonek karmionych piosenkami z kresowych

przebojów, z zapomnianych bibliotek, w których lato kusi dziecko
poletkiem trzciny, a pies skacze w rzekę; język to korzeń

krzewu, drąży i pożywienie spływa po przelyku, wrasta w giętkie gałęzie
i buduje miasta, pulsujące materie, ogorzałe mapy

wędrujące przez noce, gagatowe noce ciężkie jak piersi Inek i wymiona
lam; język – błogie homagium dla zabitych w trawie, dla leżących
w konwaliach, dla liżących róż.

PORTIERZY, KONSJERŻE, KORYTARZE ZŁA

mijałem ją na przejściach, na nieczynnych torach, zawsze w złotej masce, ze złotym papierosem, nie do końca wierna kanonom i emploi podstarzałych gwiazdek, które żyją z pijaństwa

i twardych awantur na dachach kabaretów, w przeciągach i w metrach walących się imperiów; wciąż z uchem przy ścianie chcą usłyszeć jak bije serce olbrzymiego dziecka, drewnianego

posągu, w którym życie chłodne jest jak marcowy przeciąg, i którego dłonie wahają się i tworzą zawziętą huśtawkę, na której wraca się wspomnieniami do niechcianych świąt;

zawsze w przejściu i wartko i z osoczem w ustach tańczy do znanych hymnów i kolekcjonuje symbole okrucieństwa, zachęty do modlitw i wiarę w silną wolę, która się rozbija

jak podrabiane auto w kiepskiej komedyjce; prawie zawsze na przejściu, naga i oparta palcami o krawężnik, gotowa do startu

w obłym biegu zwycięstwa po wertepach jaźni, zakrętach nieśmiałości, gdzie buszują koty odebrane staruszkom i szalonym drwalom; zawsze z czerwoną szminką

pogryzioną wściekle, nieważną jak latawiec osiadły na rzęsie i ciężki, bo marzenia są jej słabą stroną, życiorysem rozbitym

w szyderczy kołowrót, gdzie czas walczy z przestrzenią, a wypchane ptaki są solą, słodką solą, wiązadłem pragnienia.

MÓJ DUCH

I

mój duch nazywał się International Klein Blue i pisał komentarze na okładkach książek, bawiąc się długopisem i wsiąkając w obrus, organizując armie pełne krecich twarzy, nostalgicznych pamiątek po latach wypranych

w zagranicznych szamponach, w kolokacjach związków

chemicznych i szans życiowych, które odjechały fioletową karetką, a niebieską kredką ktoś rysował nam włosy, stopy i paznokcie. bóg nazywał się Miasto i oddychał żwawo, był brązowym konikiem i w koniczynie leżały jego jabłka na kraciastym kocu,

dzień nazywał się Środa, a działo się w sobotę i Jonathan miał długi u wszystkich i w żółtym swetrze jechał, a pobliskie baseny parowały jak łąźnie, których nie odwiedzam, bo

nazywam się Rzecka, a w śnie moje imię zaczyna się od wrzasku i kończy charkaniem,

bóg nazywa się Oddech i lubi grać w lotki, strzepuje papierosa do zlewu, a szpital jest grzechotką, jest śpiewem spoconych woźniców.

II

mój cień miał na imię Skrzydło, a peleton kolarzy krążył po starówce. światło rżało w latarniach, a w gazetach znowu ktoś opisał chorobę, więc skrzywiłem usta

i zasnąłem na dachu. ptak przyleciał i upadł, zerwał się latawiec i nie miałem ochoty na złożone schody i srebrne balustrady. jeżeli sen jest morzem, a morze

szkieletem wrogów dawnych i nowych to już wolę być chmurą albo parasolem,
czerwonym parasolem
przybitym do ściany. szukaj, piesku, nim zwiędną kwiaty i porzeczek!

III

nazywałem to święto Tego Ci Nie Wolno, zaczynałem je w lecie, a kończyłem,
grając na rurze od kaloryfera,

zbierałem kozie główki, które ktoś wyrzucał z szerokiego balkonu, a świat był
niemo wdzięczny, pachnący jak nogi

zamrożonych bocianów, rozpalonych kosów.

III NAGRODA

RAFAŁ RÓŻEWICZ

ŚLADY

Przemycanie przedmiotów. Na pierwszy rzut oka nie rzucających się w oczy: lakier, gumka, szczotka do włosów leniuchująca na kanapie – w oczekiwaniu na coś, co się jednak wydarzy (obiecała, więc wróci. Za tydzień,

nie dwa, trzy). Z nową torbą przewieszoną przez ramię, a w niej: książki, niby lepsze, bo przywiezione z Anglii. Im więcej książek, tym mniej świata dla gospodarzy domu, który staje się świadkiem własnych, powtórných narodzin.

Po blisko półtora roku ktoś się wprowadza. Nowe rządy zwiastuje rząd kosmetyków (chwilę wcześniej na ladzie, teraz wkraczają na terytorium jednej z trzech szklanych półek). Wkrótce zdobędą pozostałe kondygnacje. Po cichu,

pod pretekstem pójścia za potrzebą. Nie, nie brnąć w stereotypowe relacje: damsko – męskie, męsko – damskie, niczym przypis do światłości, którego wielkość rzuca cień na trzy czwarte strony; przeszkadza cieszyć się chwilą

ujrzenia strzępów czyjejś obecności. Ona tu była, tam pewnie śpi w autokarze. Są za to: lakier, gumka oraz szczotka do włosów. Ciemnych jak przeszłe sprawy. O włosach ciężko jest jednak pisać po Auschwitz.

GAGARIN BYŁ W KOSMOSIE I NIE WIDZIAŁ BOGA

Przenoszona z kąta w kąt przez pierwszy lepszy podmuch,
jedyna owieczka na tym pastwisku; pogoda
nie sprzyja nadejściu zapowiadanych posiłków.

Ogołocona z palety wojennych barw,
cierpiąca na brak ciężkiego sprzętu (gradu i śniegu)
oraz tysięcy żołnierzy deszczu,
gotowych dać płamę na kurtkach wrogów;

niczym żywa tarcza dla jeszcze ruchliwszych oczu,
które nadają ostrzegawczy sygnał do centrali:
może ją wysłali z zadaniem dezinformacji

lub przybyła oddać się do niewoli jaskółkom,
co patrolują przygraniczną strefę i gdy wyczują zagrożenie
opuszczą stanowiska pracy – zniżając się
do poziomu znanego zwłaszcza ludziom.

Nikt nie wie co tu robi, odkąd minął czas modlitw
pod jej adresem. Dziś z dołu zamiast modłów
wznoszą się samoloty, by ją ośmieszyć,

rozerwać na strzępy; tym szlakiem kroczy postęp,
gdzie indziej przybywaj w pokoju
zawalidogo. Zejdź wreszcie na ziemię,
ale tak żebyśmy o nią sporadycznie gruchnęli.

PODCHWYTLIWE PYTANIA

Gdzie kioskarka załatwia sprawy niecierpiące zwłoki?
To pytanie ma sens, jeśli spojrzeć na skrzynię
warującą przy wejściu do kiosku –
jednoosobowego zakładu utylizacji bezrobotnych.

Może po otwarciu wieka ukazują się schodki,
po pokonaniu których przychodzi ulga
towarzysząca otwarciu posiedzenia
i wypłynięciu statków z żywnością na szerokie wody.

Może w środku jest jakaś zaprzyjaźniona czytelnia,
z której codziennie zabiera plik gazet na sprzedaż;
fabryka chipsów, napojów gazowanych, dwóch
Azjatów przemycających papierosy do paczek.

Może jest też tak, że nic tam nie ma;
skrzynia ma za zadanie podpierać ścianę,
by nie runęła jednocześnie odsłaniając flankę;
zmianę warty wśród pism ilustrowanych.

I nic ma się dobrze, i nic ma własną kłódkę,
i nikt nie zwraca na nic uwagi. Tymczasem
kioskarka wymyka się do pobliskiej piekarni.
Skrzynia pozostaje obojętna na prowokację.

CZYNNE Z POWODU, ŻE OTWARTE

Odżegnywać się od paragonu, to znaczy wstydzić się własnych potrzeb? Zaspokajanych dzięki ekspedientce, która za moimi plecami potraktowała go jak śmiecia, wyrzucając, gdy tylko odstąpiłem ją na krok.

Jaką zaś rolę pełni kasa fiskalna, ta grafomanka przelewająca wszystko na papier? Co nabija się z każdej podsuwanej pod nos rzeczy, sprawiając że kontakty machinalnie sprowadzają się do wymiany.

Cofamy się w rozwoju i jeszcze robimy to sprawnie? Zastanawiam się w sklepie spożywczym, gdzie czytam: „Przyjmiemy potomków Fenicjan ze Szkoły Handlowej”, bo bez studiów niemożliwe jest wręczanie paragonu –

teraz go biorę, by mieć czarno na białym: czego potrzebowałem i ile kosztowała chwila słabości (wyraźnie mi ją wytknęła bohaterka drugiej strofy, na co dzień borykająca się z uzależnieniem od prądu).

I NAGRODA STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

ALFRED SIATECKI

ŚWIADEK KORONNY

„Jeden tam tylko jest porządny człowiek -
prokurator, ale i ten, prawdę mówiąc, świnia.”
Mikołaj Gogol - „Martwe dusze”

- Za dwie godziny ściagam ten cholerny łach - cieszył się sierżant Legień, zapinając rozpiorek. - Jeszcze tylko dwie godziny zachrzanu i żegnaj Pamelę na całutki miesiąc.

- Też, gdzie pompuje kioskara, jak ją przyprze do muru? - zapytał starszy posterunkowy Gałka. - My, jak się nam zachce lać, to idziemy za kiosk, a ona?

- Do beczki z kapustą kiszoną.

- I ludzie to kupują?

- Przecież nie wyciępnie kapusty. Człowiek nie świnia, zje wszystko. W Chinach ludzie wpieprzają smażone robaki.

- Taką to ja bym, o tak, kurwa - starszy posterunkowy podniósł dłoń i zacisnął ją mocno.

Legień położył białą czapkę sierżanta drogowki na dachu volkswagena, rozluźnił pas, oparł się plecami o drzwi samochodu i zapalił camela.

- Za dwie godziny już mnie tu nie będzie - powtórzył zadowolony Gałka, jakby sobie nie dowierzał, że jeszcze tylko dwie godziny będzie sterczał przy drodze.

- Ja też wskoczę w cywilne ciuszki i gnam do Fregaty - powiedział Gałka i dodał trochę ironicznie: - Na degustację świeżego towaru.

- To spotkamy się najwcześniej za miesiąc - obliczył sierżant rozradowany, uśmiechając się pod wąsem.

- Mylisz się - rzucił pewny siebie Gałka. Legień był w jego mniemaniu głupszy, a to mniemanie podzieliali także inni starsi posterunkowi z drogowki.

- Ty masz urlop w lipcu, na zbiór pomidorów u teścia, a ja w sierpniu, na pobimbanie.

- Kogo teraz do ciebie przykleją?

- Spokojna głowa, szefie. Znajdą jakiegoś gorliwca - powiedział starszy posterunkowy. - Po szkółce. Na praktykę. Z takim nie zakombinujesz. - Gałka najpierw splunął przez zaciśnięte zęby, a potem roześmiał się zawadiacko, jakby na

każde pytanie znał odpowiedź: - Dam mu takie wciry, krętek błady, że odechce mu się policji.

Radar odezwał się piskliwym dźwiękiem i strzałka błyskawicznie skoczyła w prawo. Legień nawet nie zerknął na tarczę, myślami był w swoim ogrodzie, pełnym dojrzewających pomidorów i ogórków, a Gałka obciągnął bluzę zadowolony. Gdy zza zakrętu wyprysnął srebrzysty opel, starszy posterunkowy mocniej nacisnął czapkę, jakby się obawiał, że podmuch wiatru zerwie mu ją z głowy, energicznie wyciągnął lizak i czekał, aż samochód się zatrzyma.

- Dużo mu wpieprzyć?

- Daj spokój - powiedział sierżant. Lecz gdy opel przemknął obok policyjnego volkswagena, nagle Legień zdeptał papierosa, chwycił czapkę i podniósł mikrofon radiotelefonu. - Ile miał na naszym zegarku?

- Sto dwadzieścia pięć - odpowiedział starszy posterunkowy, przypatrując się radarowi, jakby nie dowierzał wskazówce, która w mgnieniu oka skoczyła ku krawędzi tarczy.

Legień skrzywił usta i zaraz odłożył mikrofon.

- Daj sygnał do centrali: srebrzysty opel, chyba vectra, za kierownicą pinda w jakimś jasnym kapeluszu z wielgaśnym rondem.

- Po co? Zanim centrala się zbierze i kogoś pošle, dama zginie w tłumie.

- Żeby nas tak, krętek błady...? - Gałka zazgrzytał zębami.

- Bo to pierwszy raz? Co z tego, że wlepisz jej mandat? Weźmie kwitek albo cię opierdoli. Albo się rozbeczy. A może to akurat ślubna naszego szefa?

- Pinda. I naruszyła kodeks. Chłopu bym podarował, ale babie nigdy - warknął starszy posterunkowy.

Sierżant był go milczeniem. Za niecałe dwie godziny zapomni o służbie, a będzie myślał jedynie o tym, jak szybko zebrać pomidory w ogrodzie teścia, żeby zdążyć przed tymi, którzy szprycują warzywa chemikaliami przyspieszającymi dojrzewanie. Są tacy, którzy amoniak rozcieńczony w wodzie wstrzykują pod skórę pomidorów, Legień natomiast wtryskuje igłą lekarską moc, najpierw jednak wystawia go na słońce w wiadrze, żeby skwaśniał. W tym roku susza zaczęła się w połowie czerwca, więc ceny warzyw powinny być wysokie, tym bardziej że Legień wie, jak przekonywać właścicieli nadmorskich restauracji i barów do swego towaru. Jeśli do końca lipca sprzeda pomidory, może jeszcze latem rozpocznie remont domku. A Gałka niech stoi w skwarze z lizakiem w dłoni i zatrzymuje auta, i poucza, i wlepia mandaty. Jeśli kara każdego, kto ma charakter parszywy i przewrotny, to kara nikogo nie ominie, powtórzył w myślach po byłym naczelniku wydziału, który za zasługi, jak rehotano w komendzie, został szefem komisariatu kolejowego.

- Od tej pory nikomu nie podaruję - zapewnił go starszy posterunkowy. - Pinda, ksiądz, audi, fiat. Będę większym służbistą niż - urwał, bo nie wiedział,

z kogo brać przykład. - Przepisy są po to, co nie, żeby ich przestrzegać?

Kiedy jedenaście lat temu Legień odsłużył wojsko i zgłosił się do policji, był jeszcze bardziej drobiazgowy niż Gałka, zatrzymywał wszystkich, którzy jechali za szybko albo za wolno, pouczał, wlepił mandaty, ale teraz najzwyczajniej mu się nie chce użerać z kierowcami. Każdy najpierw dowodzi swoich racji, potem przeprasza, błaga, często straszy znajomością z panią komendant, więc Legień zatrzymuje niektóre samochody, ogląda je, tłumaczy kierowcom, żeby uważali, bo na drodze nie są sami, najwyżej pod koniec miesiąca, kiedy jego naczelnik wydziału przygotowuje sprawozdanie z kontroli, wypisuje kilka mandatów. Sam doszedł do wniosku, że im policjant ma mniej włosów na głowie i więcej lat służby, tym jest bardziej wyrozumiały dla ludzkich słabostek.

- Jeśli tylko zechcesz, każdemu możesz łupnąć mandat. Na drodze nikt ci nie podskoczy, bo tu jesteś prokuratorem, adwokatem, sędzią, komornikiem i kim tam jeszcze trzeba - z kąśliwym uśmiechem na ustach powiedział do starszego posterunkowego.

- Zakład, że pierwszemu, który nadjedzie, wpięprzę mandat za banieczkę. I jeszcze mu wcisnę, przekonasz się, że...

- ... wychłał flachę wody - dokończył Legień, pukając się w czoło.

- A tak! Bo żeby mnie pinda...? Chłop, rozumiem, ale pinda?!

- Jesteś zbyt pewny siebie - ostrzegł go sierżant, odpalając camela od camela. - Chociaż potrafisz posługiwać się alkoholem? Nauczyli cię tego na kursie?

Gałka najpierw wzruszył ramionami nieco obrażony, bo przecież nie takie rzeczy oglądał przez pół roku w szkole policyjnej, a potem parsknął takim śmiechem, że i Legień zaświecił zębami.

- Kiedyś powinie ci się nóżka - przestrzegł starszego posterunkowego sierżant. - Trafi kosa na kamień. Wylecisz z policji z taką opinią, że nawet nie przyjmą cię do zakładu pogrzebowego na pomocnika grabarza.

*

Całe popołudnie prokurator Joniec spędził w ogrodzie przyjaciela z lat akademickich, który sześć lat temu kupił nieco zaniedbany domek kawaleczek od drogi na Gręzowo. Pośpiesznie wymienił okna drewniane na plastikowe, wstawił nowe drzwi obite blachą, otynkował od strony ulicy, wymurował garaż i oranżerię, wzdłuż płotu posadził czarne porzeczki i agrest, nawet maliny i jeżyny. Ile razy Joniec przyjeżdżał do Gręzowa, zawsze kupował w kiosku za zakrętem świeże jajka i pomidory, a żona przyjaciela obdarowywała go owocami prosto z sadu.

- Na wzmocnienie umysłu - śmiała się i zapewniała, że tak smacznych jabłek czy gruszek nie ma nigdzie na świecie. - Nigdy nie były przyskane żadną chemią, za to karmione prawdziwym nawozem bydłowym aż spod Żukowa.

Inżynier Nowacki poczęstował Jońca piwem prosto z beczki, pokazał ko-

lekcję grafik wstępującego artysty, który mimo młodego wieku zyskał uznanie przede wszystkim krytyków sztuki za granicą. Kilka jego prac trafiło na do-
roczną wystawę *Junge Kunst* we Frankfurcie, co, jak twierdził inżynier, dobrze
wróży grafikowi, ale jeszcze lepiej kolekcjonerowi.

- Ja mam nosa do artystów - przypomniał mu Nowacki. - Czy nie radziłem
ci, jak byliśmy na praktyce w Krynicy, żebyś kupował akwarelki Nikifora i tych
wszystkich prymitywistów, za którymi dziś uganiają się muzea? A nie mówiłem
też, żebyś zamienił mieszkanie miejskie na wiejski domek z widokiem na drogę
ocienioną lipami?

Joniec milcząco przyznał mu rację.

- W dzisiejszych czasach, gdy prawie każdy ma samochód, im dalej miesz-
kasz od centrum miasta, tym bardziej jesteś ceniony. Rozejrzyj się, jak tu miło,
jak cicho... A jakie powietrze! - Nowacki pokazał na jabłonie gałęziami oblizu-
jące żdźbła soczystej trawy. - Siedzisz sobie w cieniu dzikiego bzu i beztrosko
popijasz piwko. Upał ja cholera, a tu jak w raj.

Prokurator westchnął przeciągle, po chwili milczenia powiedział z żalem
w głosie:

- Cóż, gdybym wtedy posłuchał ciebie, a nie żony...

- Za mostkiem, jak się jedzie do Victorii, prawie na wprost stacji meteoro-
logicznej, stoi wiekowy bliźniak - szybko powiedziała Nowacka. - Z jednej stro-
ny mieszka samotnie jubiler, druga część jest pusta. Kiedyś ta pusta połówka
należała do profesora historii na uniwersytecie, który wspólnie z kochanką, nota
bene swoją doktorantką, zamordował swoją żonę. Pewnie słyszałeś o tym?

Joniec przytaknął, chociaż nie pamiętał, który profesor uniwersytecki za-
mordował swoją żonę i dlaczego to zrobił. Gdyby w Gdańsku, Sopocie i Gdy-
ni mieszkało tylko tylu profesorów historii, ilu jest prokuratorów, zapewne
wiedziaby o nich prawie wszystko, ale od kiedy zaczęły pączkować prywat-
ne uczelnie, słusznie zwane odlewniami bezrobotnych, przestał interesować się
tym, czym zajmują się nawet naukowcy z powołania.

- Profesor i asystentka byli w znowie. Zostali skazani na długą odsiad-
kę. Jeśli nawet obejmie ich amnestia albo zmieni się prawo i wyjdą na wolność,
to jeszcze minie dużo czasu - stwierdziła Nowacka, a Joniec nie tłumaczył, że
amnestia nie dotyczy zabójców. - Tę połówkę po profesorze jego syn chce tanio
sprzedać.

- To tam, gdzie mieszkał brat Krajewskiego? - zaciekał się jej mąż. Po-
twierdziła. - Domek, jak domek, raczej zwyczajny, za to ogród i sadek...!

W drodze powrotnej do centrum Joniec zatrzymał passata pod lasem, nie
wysiadając z samochodu długo przypatrywał się połówce bliźniaka ukrytej za
jabłoniami i płotem z gęstego bluszczu. Domek mu się spodobał. Gdybym tu
zamieszkał, musiałbym trochę zmienić w ogrodzie, przede wszystkim wyciąć

gałęzie zagładające do okien. Jeśli odważę się porzucić miasto, w którym przecież znam każdy zakamarek, wszystkie niewygody, wschody i zachody przemyskającego ulicami słońca, czy potrafię przyzwyczaić się do szeptu lasu? Co powie żona, gdy się dowie, że mam zamiar namówić ją do ucieczki za miasto? Będzie mi odradzała? Pewnie tak. A może pochwali mój wybór? Często dar jest niewielki, a skutek z niego ogromny.

O niczym innym nie potrafił myśleć, tylko o tym domku wciśniętym pod ścianę lasu, o który dbałby jak o coś, co jest mu bardzo bliskie i niezbędne do szczęścia. Ma syna, a gdyby miał jeszcze ten dom, posadziłby drzewo. Czubkiem buta naciskał pedał gazu i pędził prawą stroną drogi. Nawet nie dostrzegł tablicy z napisem „Lębork”. Chciał jak najprędzej być w swoim mieszkaniu na czwartym piętrze, usiąść w fotelu i wtajemniczyć żonę w pośpiesznie ułożony plan urządzenia tego domu. A jak powiem, że kupię drugie auto, na przykład czerwonego opla corsę, specjalnie dla niej, zgodzi się na pewno, był przekonany. Najlepsza jest taka miara majątku, żeby ani nie popaść w ubóstwo, ani od ubóstwa nie być za daleko.

W ostatniej chwili zauważył lizak, a potem policjanta w białej czapce. Mocno nacisnął na hamulec, passat jak znarowiony wierzchowiec zaczął się kołysać. Zimny pot oblał prokuratora.

- Dokąd to tak panu kierowcy się spieszy? - spytał go starszy posterunkowy, uderzając lizakiem w otwartą dłoń.

- Wracam... Czyżbym...? - Joniec próbował opanować drżenie głosu. Jeszcze nigdy nie zatrzymał go żaden policjant. - Czyżbym nieświadomie naruszył któryś z paragrafów prawa o ruchu drogowym?

- Pan kierowca nie umie czytać znaków drogowych? - Z wyraźną wyższością roześmiał się policjant. Nie lubił takich, którzy udają niewinnych. - A z jaką prędkością wolno jechać w terenie zabudowanym?

- O czymś ważnym myślałem i nie zauważyłem znaku ograniczającego prędkość - przyznał się prokurator. Boże, tylko żeby nie dowiedział się, gdzie pracuję i kim jestem, przeleciało przez myśl Jońcowi. - Skoro zawiniłem, jestem gotów ponieść karę.

Gałka nachylił się i pociągnął nosem.

- Wyglądasz pan na człowieka po szkołach, co nie? Inżynierek magister albo jakiś profesorek. Bo nie poseł. Mam rację? - spytał policjant i nie czekając na zaprzeczenie, dodał: - Tacy najczęściej myślą, że cały świat do nich należy. Co tam przepisy! Dokumenty pan kierowca będzie łaskaw.

Pokazać mu legitymację służbową? Przecież jestem przedstawicielem organów ścigania, w pewnym sensie jego kolegą, rozważał prokurator, ale nie sięgnął do portfela.

- Jazda w stanie po spożyciu alkoholu - stwierdził starszy posterunkowy,

jeszcze raz pociągając nosem. - A dziś rano ktoś taki jak pan kierowca potrafił na pasach dziewczynę. I zwiął. Koledzy jeszcze go szukają. Znajdą i posadzą. A może to pan kierowca jest tym poszukiwanym, co?

- O co pan mnie posadza? - oburzył się Joniec, lecz zaraz spiekł raka. Przypomniał sobie, że Nowacki poczęstował go dobrym, wychłodzonym piwem. Spuścił głowę na piersi jak dziecko skarcone przez ojca i zacisnąwszy usta aż do białości, milcząc, czekał. Na co? Tego nie wiedział.

A Gałka to wpatrywał się w prawo jazdy, to sprawdzał numery rejestracyjne samochodu, to wlepiął oczy w opony i klosze świateł.

Boże, żeby tylko nie zajrzał do dowodu osobistego, błagał w myślach prokurator.

- Za jazdę po pijanemu komunistyczny prokurator wsadziłby pana kierowcę na rok do ciupy. Co ja panu tłumaczę? Pan z tamtych czasów, co nie? My, stojący na straży przestrzegania prawa Rzeczypospolitej, postępujemy po ludzku. De-mo-kra-tycz-nie wedle procedur. Ale pijak, panie starszy, był, jest i zawsze będzie pijakiem. Pijak za kierownicą to coś gorszego niż złodziej. Pijak za kierownicą zagraża życiu przyzwoitych kierowców. Za kierownicą pijak jest mordercą. A jak się ma wypasione auto - Gałka zatoczył łuk ręką nad passatem - trzeba szczególnie uważać, panie starszy.

- Zawsze są jakieś okoliczności łagodzące. Nawet sąd bierze je pod uwagę, mimo że zwykle prokurator domaga się najwyższego wymiaru kary.

- obrońca pijaków się znalazł - roześmiał się policjant.

- Przyznaję się do winy. Popelnilem wykroczenie.

- To już lepiej - ocenił zachowanie prokuratora Gałka i znowu spojrzał na niego z wyższością. - Daję panu do wyboru: utrata prawa jazdy na pół roku i ponowny egzamin, rozprawa przed sądem grodzkim, czego nie radzę, bo ja będę robił za świadka, albo mandat.

Joniec zacisnął powieki. Jaki wstyd! Jeśli koledzy w prokuraturze dowiedzą się, że straciłem prawo jazdy, nie dadzą mi spokoju. I koniec z marzeniami o domku pod lasem. Bo czym i jak będę dojeżdżał do pracy?

- Wybieram mandat - powiedział niemal szeptem.

- Trochę za mało, panie starszy, jak za tak poważne naruszenie prawa - rzekł tonem nauczyciela Gałka. A sierżanta stojącego przy radiowozie spytał:

- Jaką karę wymierzylbyś za jazdę po spożyciu alkoholu i za przekroczenie dopuszczalnej szybkości?

Legień zbył go machnięciem ręki. Joniec się ucieszył, otworzył usta, żeby zapewnić starszego posterunkowego, że odtąd zawsze będzie zważał na wszelkie znaki drogowe, kiedy Gałka stanął w szerokim rozkroku, ręce założył do tyłu i podniósłszy głowę, powiedział:

- To będzie kosztowało punkty karne. I dziesięć baniecetek.

- Tysiąc złotych? - Prokurator aż wybałuszył oczy.

- Za dziesięć baniecшек jestem gotów uznać, że nie popełniłeś pan żadnego wykroczenia.

- Mandat za tysiąc złotych? To znaczy... że ja...? - zaczął Joniec i nagle urwał. Wydawało mu się to za dużą karą. Dopiero po namyśle rzekł, ciesząc się:

- A... dziękuję. Bardzo dziękuję. Zapewniam pana, że już nigdy więcej nie złamię żadnego przepisu. - Wyjął z kieszeni portfel. - Niestety, nie mam przy sobie tyle gotówki.

- To się poczeka. Do dziewiątej jest jeszcze dużo czasu. Jedź, staruszk, do domciu, odpocznij... Dopiero dochodzi ósma.

Prokurator wyciągnął rękę po dokumenty.

- Prawo jazdy i te drugie papierki u mnie zostaną. Nic nie zginie. No, szerokiej drogi! Byłeś pan zdążył do dziewiątej, bo jak nie... Rozumiemy się?

- Ale, jak bez dokumentów...?

- Będą baniecшки, oddam papierki.

Niesprawiedliwe jest unosić się gniewem przeciwko powszechnym występkom, a nierozsądne - przeciwko swoim własnym, stwierdził w myślach jednak zadowolony Joniec. Mogło być gorzej. Przekręcił kluczyk w stacyjce i natychmiast passat ruszył w stronę centrum. Gdy zatrzymał samochód przed światłami obok nowego kościoła, zaczęły go nękać wątpliwości. Prawie trzydzieści lat jest prokuratorem, a nie ma bladego pojęcia, ile kosztuje mandat, jednak był przekonany, że tysiąc złotych to za dużo. Może pięćset? Może jeszcze mniej? Tysiąc złotych to jest więcej niż żona płaci gosposi za miesiąc naprawdę solidnej pracy, stwierdził z zalem. Dobrej marki telewizor z płaskim ekranem kosztuje niewiele ponad dwa tysiące A dlaczego policjant nie kazał mi nadmuchać w balonik? I skąd wiedział, że akurat wypilem piwo? To wracać, domagać się badania przy pomocy alkometru? Ale, ale, powiedział w myślach, lepiej pojedę do laboratorium na Węgrzynowicza i poproszę którąś koleżankę żony, żeby poobrała mi krew do analizy.

*

- Jest już ósma? - spytał Legień, znudzony oczekiwaniem na zakończenie służby. Jutro nie będę musiał wcześniej wstawać. A za miesiąc...? A za miesiąc może będę kierownikiem sekcji analiz wypadków, przypomniał sobie rozmowę z zastępcą komendanta, który dał mu do zrozumienia, że nastąpi reorganizacja w drogówce. - Za godzinę kończymy, co?

Gałka przytaknęła niedbale. Przestały go interesować samochody przemijające drogą obok forda ze znakami policji. Od południa ukarał sześciu kierowców, czterem kobietom pogroził palcem, ale najbardziej cieszył się, że tak łatwo mu poszło z właścicielem passata.

- Jak ci się spieszy to właśnie wtedy czas się wlecze - marudził sierżant.

- Dostaniesz pięć banieczek i zapomnisz o służbie.

- Za co? Czyżbyś znowu...? Kto to był?

Starszy posterunkowy niedbale przeciął ręką powietrze.

- Czy to takie ważne? Frajer. Nie wypierał się, to znaczy: winny.

- Kiedyś nadziejesz się na jakąś szychę. I odpokutujesz za wszystkie grzechy w pierdłu.

- Tyle razy, kolego... Poskarżył się któryś? Ja mam nosa. Dwa dni temu, pamiętasz? Facet nie miał złotych, to zapłacił zielonymi.

Legień zgniótł w palcach puste pudełeczko po papierosach i wyrzucił za kiosk warzywny.

- Chwała Bogu, że idę na urlop. Odpocznę od twoich machlojek.

- Żałuj, szefie, żałuj. Zarobiłbyś nie tylko na chleb i mleko, ale i na remont chałupy. Ja, jeśli dobrze pójdzie, za pół roku kupuję mieszkanie na Zaciszu. - Gałka zapiął rozpiorek i wytarł palce lewej dłoni o bluzę. - Trzy pokoje z kuchnią na pierwszym piętrze. I dopiero wtedy się ochajtne. Przyjdiesz na mój ślub?

Gówniarz, pomyślał o nim sierżant. Na szczęście od jutra mnie tu nie będzie, ucieszył się i jeszcze raz spytał Gałkę o godzinę.

- Za rok będę miał tyle forsy, że pojedę na Karaiby. Nie, najpierw wyskoczę do Włoch, żeby zobaczyć papieża. Każdy katolik powinien raz w życiu ukłęknać w Kaplicy Sykstyńskiej.

*

Joniec zerknął na omegę: dochodziła dziewiąta. Nie śpieszył się, był przekonany, że policjanci nie odjadą, póki nie zwrócą mu dokumentów. W gruncie rzeczy to im zależy na załatwieniu sprawy, pomyślał i uśmiechnął się chytrze. Gdyby oni wiedzieli, z kim mają do czynienia, wyrzuciliby dokumenty i natychmiast zmykali na koniec świata. Prokuratora wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej i korupcji chcieli oszwabić, psia ich mać! Mnie naciąć na dziesięć banieczek? I prawie im się udało. Pokręcił głową, ciągle nie wierząc, że policjanci mieli odwagę zażądać od niego łapówki. Jeśli ze mną tak postąpili, to pewnie od innych kierowców również domagają się pieniędzy?

W kieszeni kurtki miał białą kopertę, w niej dwadzieścia nowiutkich banknotów po pięćdziesiąt złotych każdy. Zrobi tak, jak mu poradził inspektor Wielgosz: zatrzyma passata na poboczu drogi, otworzy okno, poda kopertę policjantom, ale nie będzie się odzywał. Zdenerwowany powiedziałby coś, co potem może zostać wykorzystane przeciw niemu w sądzie, bo przecież oni usiądą na ławie oskarżonych i będą wszystkiemu zaprzeczali.

Zdjął nogę z pedału gazu, passat zaczął powoli tracić prędkość. Zjechał na pobocze i nadusiwszy na dźwignię hamulca zatrzymał samochód za policyjnym volkswagenem. Otworzył okno. Już im dać kopertę czy jeszcze zwlekać? Może nie zechcą gotówki? Dowiedzieli się, kim jestem, to przeproszą i oddadzą

dokumenty.

- Zdażyłeś pan! - zawołał do niego starszy posterunkowy, powoli podchodząc do samochodu.

Dopiero teraz Joniec przyjrzał mu się dokładniej. Na prawym policzku policjanta dostrzegł gniazdko, jakby ślad po oparzeniu czy uderzeniu butelką.

- A już myślałem, co trza będzie pisać wniosek do sądu grodzkiego. Masz pan... co należy?

Joniec wyjął z kieszeni kopertę i ostrożnie, jakby się czegoś obawiał, milcząc podał ją policjantowi. Nie pamiętał, kto powiedział, że spór z równym jest ryzykowny, z silniejszym - szaleńczy, ze słabszym - haniebny. Miałki i nędzny to człowiek, który ugryziony, gryzie. Często, gdy zarządzał powtórkę śledztw, wracały do niego te dwa zdania. Pomyślał nawet, że musi sprawdzić w internecie, kto jest ich autorem.

Sierzant ciągle stał oparty plecami o drzwi volkswagena, nawet nie spoglądał na obserwującego go kątem oka prokuratora, jakby nie był zainteresowany tym, co robi starszy posterunkowy.

- Jak żem mówił: dokumenty z rączki do rączki - najpierw Gałka zwrócił prokuratorowi prawo jazdy i dowód rejestracyjny, potem roześmiał się z tą samą wyższością w głosie, którą demonstrował godzinę wcześniej. - Nie trza sprawdzać, pańskie.

- Moje - potwierdził Joniec cicho, chowając dokumenty do portfela.

Gałka spokojnie, a nawet ślamazarnie przeliczył pieniądze, zadowolony skinął głową do sierżanta, schował je do kieszeni bluzy, a kopertę dokładnie zgniótł w dłoni i wyrzucił na pobocze.

- Zgadza się. Lepiej nie targować się niż stracić prawko jazdy, co nie? Na drugi raz, panie starszy, nim się wypije piwko, niech pan pomyśli o skutkach. Co by było, gdybyś pan spowodował wypadek? Może nawet niewinna osoba poniosłaby śmierć? A jakby do końca życia miała zostać kaleką? O, wtedy buliłybyś pan nie dziesięć baniczek, ale za szpital rentę miesiąc w miesiąc - perorował jak nauczyciel starszy posterunkowy. - Nauczyłeś się pan czegoś czy nie?

Joniec udawał skarconego i zmieszanego ostrzeżeniem, nawet udało mu się zaczerwienić, na chwilę zwiesił pokornie głowę na piersi. Za kilka minut ty będziesz się usprawiedliwiał, uśmiechnął się do niego z przekąsem.

- A teraz jedź pan do domciu - rzucił do niego starszy posterunkowy. - Żonka pewnie się niecierpliwi, bo bigos stygnie. - Zerknąwszy na zegarek, poszedł w stronę sierżanta. - Minęła dziewiąta. Koniec służby! Jesteś na urlopie.

Prokurator widział, jak Gałka odlicza pieniądze i część daje Legieniowi.

- Czy dostanę pokwitowanie albo jakiś paragon?! - zawołał Joniec, udając nieobebranego w dawaniu łapówek.

- Powiedziałem: jedź pan do domciu! Żonka czeka! - odkrzyknął do niego

Gałka.

Joniec posłusznie wetknął kluczyk do stacyjki, włączył silnik, ale nie odjechał. Minęła dziewiąta, już powinni być. Przecież obiecywali. A może wszyscy policjanci są tacy sami? Czyż ja nie stanąlbym po stronie prokuratora, jeśli nawet był winny? Pewnie szukałbym okoliczności łagodzących. Solidarność zawodowa niewiele ma wspólnego z przyzwoitością, dlatego udają się niektóre strajki. Mimo to obserwował w lusterku drogę za sobą. Żeby tylko zdążyli, bo ci zaraz odjadą, prosił w myślach. Wychylił głowę przez okno i zobaczył škodę pędzącą od strony kościoła. Zdążyli, odetchnął z ulgą.

Škoda zatrzymała się przed volkswagenem na poboczu, wyskoczyło z niej trzech cywilów, nie zważając na Jońca, jakby go nie znali, szybkimi krokami podeszli do policjantów.

- Kluczyki! - Rosły mężczyzna wyciągnął rękę do Gałki. - Natychmiast!

- Uważaj, koleś, na kogo napadasz - roześmiał się lekceważąco starszy posterunkowy i rzucił do Legienia: - Ale chłopaki się bawią. Ja mam nakopać im w dupę czy ty to zrobisz, szefie?

Dwaj mężczyźni chwycili Gałkę za ramiona, wyrwali mu kluczyki i obezwładnili jak schwytanego na gorącym uczynku mordercę.

- Znacie tego pana? - spytał go cywil, pokazując na prokuratora, który wyglądał z passata przez szeroko otwarte okno.

- Nie.

- Nie?

- Nie ukaraliście go?

- Broń Panie Boże - zaprzeczył sierżant. - Kolega starszy posterunkowy go zatrzymał i udzielił upomnienia. Za nadmierną szybkość w obszarze zabudowanym. Powinien wlepić mandat, ale człowiek ma dobre serce.

Nadjechał drugi radiowóz, ten z rzucającymi się w oczy emblematami wydziału wewnętrznego policji. Dopiero teraz prokurator wysiadł z passata i zbliżył się do grupki, żeby wyraźniej słyszeć wyjaśnienia sierżanta i starszego posterunkowego.

- Przyjęliście korzyść majątkową, łamiąc nie tylko prawo, ale i naruszając wszelkie zwyczaje - stwierdził bez pardonowo cywil z wąsami. - Tysiąc złotych.

- My? Kto to panu powiedział? - aroganckim tonem zapytał Gałka. - Może ten gość?

Joniec zamierzał przytaknąć, już nawet podniósł głowę i otworzył usta, gdy jego wzrok napotkał spojrzenie sierżanta. Wydawało mu się, że Legień jest dobrym policjantem, dlaczego więc nie zabronił starszemu posterunkowemu łamać prawo? Mało tego, przyjął część łapówki. Jako starszy stopniem i wiekiem powinien mieć przewagę nad podwładnym i młodszym. Staje się gorszy, kto psuje drugiego, powtórzył w myślach czyjeś zdanie. Może nawet on je wymyślił.

- Ten gość - cywil gestem prawej ręki przywołał Jońca do siebie - jest prokuratorem apelacyjnym. Pracuje w wydziale do spraw przestępczości zorganizowanej i korupcji Zapewne prawo zna lepiej niż wy obaj.

Sierzant rozchylił usta, chciał coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, ale tylko chwycił się oburącz za skronie i chwilę stał znieruchomiały jak wartownik przed pomnikiem na placu Bohaterów, w którego były zwrócone oczy wszystkich gapiów. Gdy opuścił ręce, twarz miał bladą, a czoło mokre.

- Ten kierowca jechał za szybko w terenie zabudowanym. Zgodnie z obowiązującymi procedurami mogłem go ukarać mandatem lub udzielić ostrzeżenia. Pomyślałem sobie, że na pewno pierwszy raz naruszył kodeks, dlatego po konsultacji z kolegą sierżantem wyjaśniłem mu, z jakiego powodu zatrzymałem pojazd do kontroli - skłamał bez zająknięcia Gałka.

Joniec zauważył, że jednak szparki straszliwie bezbarwnych oczu mu się zwężyły. Za nimi ukrywał całą bezczelność. Nie chciałby z kimś takim pracować nawet wówczas, gdy udowodnienie winy bywa formalnością.

- Pójść człowiekowi na rękę, to, kurwa, oskarży. A trzeba było łupnąć mandat i nie patrzeć, że prokurator! - rzucił starszy posterunkowy.

Legień zamknął oczy, oddychał głęboko przez nos. Domyślał się, co teraz będzie.

- Około godziny dwudziestej zatrzymaliście volkswagena pana prokuratora i zażądaliście łapówki - bezceremonialnie stwierdził cywil.

- My obaj?! - przerwał mu sierżant. - Nie zatrzymywałem nikogo i niczego nie żądałem.

- Dostaliście białą kopertę, w której było dwadzieścia banknotów pięćdziesięciozłotowych - ciągnął spokojnie cywil. - Czy udowodnić?

- A proszę bardzo - pewny, że cywil jednak niczego mu nie udowodni, odrzekł Gałka.

Aspirant włączył lampę i kiedy strumień światła skierował na bluzę starszego posterunkowego, wszyscy dostrzegli jaśniutką plamę na lewej klapie jego bluzy. Aspirant wyłączył lampę, a po chwili na wyraźny znak cywila z wąsami włączył ją powtórnie, tym razem na dłużej.

- Ręce też wam świecą - powiedział cywil, wskazując głową dłonie Gałki. Wyglądały jakby były pomalowane farbą fosforyzującą. - A wiecie dlaczego?

Sierzant przeraził się, próbował wytrzeć dłonie o spodnie.

- Ponieważ dotykaliście pieniędzy oprószonych miałem fluoryzującym, często stosowanym w kryminalistyce. Wystarczy włączyć lampę ultrafioletową i oświetlić banknoty czy ręce osoby, która je dotykała, żeby nie było wątpliwości. Jeśli się z tym nie zgadzacie, inspektor Wielgosz może wam to wyjaśnić.

- Nie dam się nabrać - rzucił starszy posterunkowy, ale mimo to obejrzał swoje ręce.

Cywil rozważał, czy dobrze robi, jeśli w obecności podwładnego rozmawia z dowódcą patrolu. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien podważać autorytetu starszego rangą policjanta. Po namyśle zdecydował się odstąpić od obowiązujących zasad.

- Pan, sierżancie, też ma w kieszeni wyłudzone pieniądze? - spytał.

Legień nie odpowiedział. Dłonie podniósł do oczu, pociągnął nosem.

- Proszek jest bezzapachowy. Wykrywa go jedynie lampa albo płytka nasączona płynem identyfikacyjnym - powiedział Wielgosz. - Nawet tak wyszkolony pies jak filmowy Aleks nic nie wywacha.

- Nie damy się nabrać - powtórzył starszy posterunkowy. Zrobił krok do tyłu, jakby szykował się do ucieczki.

Za jego plecami stali cywile z wydziału wewnętrznego, mężczyźni rośli, pewnie i zwinni, na najcichszy sygnał wąsacza gotowi natychmiast powalić Gałkę na ziemię i w mgnieniu oka go obezwładnić.

Wąsaty cywil wyjął karteczkę z saszetki.

- Skoro żaden z was nie przyznaje się do wymuszenia łapówki, będziemy musieli przeprowadzić rewizję.

- Bez nakazu sądowego? Nic z tego - szybko zaprotestował Gałka i przeniósł błagalne spojrzenie na twarz Jońca.

- Każdy banknot, jak wiecie, a jeśli dotąd nie wiedzieliście, to wyjaśniam, że każdy banknot ma ukryte i widoczne gołym okiem znaki identyfikacyjne, to znaczy serię i numer kolejny. Możecie sprawdzić - powiedział Wielgosz do starszego posterunkowego. - Banknoty znajdujące się w białej kopercie, którą starszy posterunkowy dostał od prokuratora, również były oznakowane. Seria BY, numery kolejne od 00001 do 00020. W codziennym obiegu ta seria nie występuje. Banknoty pochodziły ze skarbca policyjnego. Pan prokurator wystąpił w roli świadka koronnego.

Mimo że wszystko było jasne, obaj policjanci z drogówki nie wierzyli ani jednemu słowu cywila. Musi udowodnić, że mam te pieniądze w kieszeni, pomyślał przestraszony Legień. A jeśli one naprawdę zostały oznakowane? Boże, zrób coś! Uderzył wzrokiem Gałkę. Gdybym tylko mógł, tak bym cię wyrznął w zęby, gówniarzu, że na kolanach błagałbyś o litość. Co teraz będzie? Legień zacisnął usta aż do białości.

Żaden nie spodziewał się, że Joniec ich przechytrzy w tak prosty sposób i zostanie zwycięzcą. A on o zajściu na drodze najpierw poinformował swego przyjaciela ze studiów inspektora Wielgosza, ten z kolei zadzwonił do zastępcy komendanta wojewódzkiego policji, który nakazał szefowi wydziału wewnętrznego pobrać ze skarbca oznakowane banknoty. Przy okazji polecił laborantce w poliklinice, żeby przeprowadziła test sprawdzający zawartość alkoholu w krwi prokuratora.

- Proszę opróżnić wszystkie kieszenie - spokojnie, aczkolwiek stanowczo nakazał węsacz.

Starszy posterunkowy usiłował protestować. Sierżant natomiast bez sprzeciwu wyjął z portfela osiem banknotów i podał je aspirantowi.

- Od jutra miałem być na urlopie - powiedział do siebie.

- Jestem przekonany, że jeszcze dziś prokurator wystąpi do sądu o wydanie nakazu aresztowania. - Cywil spojrzał na Jońca, jakby czekał na potwierdzenie, on jednak milczał.

- Nie ze mną w te klocki. Winę trza najpierw udowodnić, co nie? - starszy posterunkowy nie poddawał się bez walki.

Dwaj mężczyźni z wydziału wewnętrznego chwycili go za ramiona, trzeci włożył rękę do jego kieszeni bluzy.

- Nie będzie to takie trudne - odparł cywil, prosząc aspiranta o sprawdzenie numerów banknotów. - Przy okazji wyjaśnimy kilka innych spraw. Na przykład to, kto wczoraj przed południem wyłudził od kierowcy czerwonego peugeota pięćset złotych. - Wyjął notes i czytał: - Kto również wczoraj zatrzymał w tym samym miejscu niebieskiego opła corsę, kierowanego przez kobietę, i domagał się haraczu? Ile dolarów dał kierowca volkswagena z niemieckimi numerami rejestracyjnymi? I tak dalej. Podobnych sygnałów zanotowałem jedenaście. W ciągu zaledwie miesiąca jedenaście osób złożyło skargi na policjantów z drogówki. A ilu, jeśli jutro przeczyta w gazecie informację o wykryciu przestępców w naszym gronie, jeszcze się zgłosi z doniesieniami?

- Wczoraj zastępowałem podkomisarza Krystka w sekcji analiz! - bronił się Legień. - Nie miałem służby na drodze, jak Boga szczerze kocham!

- Sprawdźmy i weźmiemy to pod uwagę - zapewnił go węsacz.

Tyle razy jako oskarżyciel byłem w sali sądowej, często korzystając z materiałów śledczych policji. Bez żadnych podejrzeń ufałem tym wszystkim sierżantom, aspirantom, komisarzom. Traktowałem ich jako sprzymierzeńców, którzy walczą z tym samym, z czym ja walczę, pomyślał Joniec. Wszyscy dopuszczamy się win, jedni ciężkich, inni lżejszych, jedni z rozmysłem, inni w afekcie lub też pod wpływem czyjejs nieszczemności. A niektórzy z nas zaprzepaścili swą uczciwość.

Joniec stał lekko przygarbiony, wpatrując się niemo w tunel drogi: nie widział nadjeżdżających samochodów ani nie słyszał, co do niego mówił inspektor Wielgosz. Był wściekły na starszego posterunkowego.

II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

SŁAWOMIR PŁATEK

DOM BURSZTYNIARZA

Na piecu stał garnek z parującą wodą. Gotowała się od godziny i widocznie było to zwyczajem w tym domu, bo tapeta w przeciwnym kącie pokoju odklejała się na wszystkich łączeniach. Mężczyzna w szarawej marynarce w kratę siedział za stołem i czytał kolorową gazetę sprzed kilkunastu lat. W garnku została połowa wody, reszta wyparowała. Ogień powoli zjadał resztki węgla, ubywało żaru. Spod uchylonej zasłony ze starych koców wsączała się resztką światła dziennego. Pożółkłe wierzbowe witki poruszane leniwym wiatrem stukwały z rzadka o szybę. W czasie huraganów musiało to być istne biczowanie, wierzba rosła bardzo blisko domu – samosiejka, była jak na wpół oswojony kot, który trzyma się blisko człowieka, ale nigdy nie przekracza progu.

Woda w garnku przestawała bulgotać, zaczynała syczeć. Mężczyzna wstał powoli, podszedł do pieca. Do poplamionej szklanki wsypał grubą warstwę herbaty, wstawił ją w metalową obejmę z uszkiem, wyglądającą jak zrobiona w domowym warsztacie. Chwycił garnek przez suchą ścierkę, zalał herbatę. Wrócił do stołu, postawił szklankę na ceratowym obrusie, zniżył czytana przed chwilą gazetę, cofnął się do pieca i otworzył drzwiczki. Wrzucił do środka papier i kilka grudek węgla. Usiadł przy stole. Ze sterty papierów do spalania wyjął niewielką książkę nieistniejącego już dawno wydawnictwa. Uchylił miękką okładkę. Stempel biblioteki. Tytuł. Odłożył na bok. Sięgnął po bierki leżące obok sterty gazet. Wyjął komplet, rozsypał na ceracie i zaczął powoli wyjmować. Odrobinę drżały mu ręce. Kiedy skończył, powtórzył czynność, potem jeszcze raz. Potem zrobiło się ciemno, zgasił światło i wrócił za stół, przy którym zasnął.

Mężczyzna w szarej marynarce w kratę zapalił damskiego papierosa. Przyglądał mu się drugi w ciemnogrnatowym swetrze.

- Wyglądasz jak debil.
- Żadnych innych już nie mogę. Strasznie mnie telepie.
- Rzuć to gównu.

Ten w marynarce zaciągnął się i nie odpowiedział. Dwóch robotników w kaskach kuło ściany używając młotków i przecinaków. Co jakiś czas przy-

spieszali pracę.

- Wolniej, panowie, tu nie chodzi o rozwalenie tego domu. Każda cegła pojedynczo.

- To zajmie z rok.

- Mamy czas. Może was czekać jeszcze kilka takich domów.

Potem ten w swetrze wyszedł, a ten w marynarce otworzył termos, nalał sobie do kubka mocno pachnącej herbaty, usiadł i zaczął pić. W powietrzu unosił się kurz, uszy bolały od stuku. Robotnicy założyli słuchawki i odkuwali centymetr po centymetrze.

Mężczyzna w szarawej marynarce w kratę stał na przystanku i patrzył na poranne chmury. Były gęste, ale nie zapowiadały deszczu. Na ławeczce pod wiatą siedziały trzy starsze panie z torbami na zakupy. Nikt nie mówił ani słowa. Nikt się nie spieszył. Wiało. Kobiety czekały na konkretny autobus o konkretnej godzinie. Mężczyzna czekał na jakikolwiek. Podjechał w końcu, niemal pusty. O tej porze mało kto jeździł do pracy lub do szkół, wsiadali raczej emeryci z darmowymi biletami, wybierający się na zakupy. Starsze panie rzuciły się we trzy do walki o któreś z trzydziestu wolnych miejsc. Mężczyzna zgasił niedopalonego papierosa o słupkę wiaty i schował resztę do kieszeni, powoli podszedł do drzwi. Znicierpliwiony kierowca coś wołał. Drzwi zamknęły się i cała czwórka odjechała. Na przystanku nie pozostał żaden ślad po niedawnych oczekujących. Wiało nadal, jakby się nic nie zmieniło i jakby ludzie byli tylko sztafajem dla wiatru, a nie wiatr dla nich.

Mężczyzna w autobusie zdjął kapelusz. Założył go z powrotem wysiadając w bardziej ruchliwej części miasta pod jednym z hoteli. Pojazd zniknął za zakrętem, jakby go w ogóle nie było, podobnie jak przed chwilą ludzie zniknęli z przystanku. Tu także wiało. W tym wietrze pojawił się nowy element – człowiek idący w dół do skrzyżowania i skręcający w boczną uliczkę. Potem człowiek zniknął w barze mlecznym. Wiało nadal, czasem pojawiali się inni ludzie i też znikali.

Po wejściu do baru gość zdjął kapelusz i marynarkę. Zamówił dwa krokiety i kompot. Jadł powoli, obserwując bez zaangażowania innych konsumentów, a kiedy widział, że ktoś czuje się obserwowany, przenosił wzrok na kołyszące się gałęzie za oknem. Wiatr wzrastał się. Ktoś skończył swój posiłek i z głośnym brzękiem odstawił tacę z pustymi naczyniami. Ktoś inny zostawił na stole talerz z niedojedzonym budyniem i połową jajecznicy. Przez chwilę w barze siedział tylko jeden człowiek. W końcu otarł usta serwetką, założył marynarkę, kapelusz, odniósł tacę do zwrotu i wyszedł. W progu zapalił pozostawioną w kieszeni połówkę papierosa, zakaszał i odszedł w kierunku przystanku. Nie sprawdzał rozkładu jazdy. Stał obok wiaty i czekał. Przy wejściu do spożywczego roili się

ludzie, ktoś nieokreślonej płci tkwił w oknie kamienicy naprzeciwko i patrzył na niemrawy ruch uliczny.

Po krótkim czasie podjechał autobus. Papieros wciąż był niedopalony, więc mężczyzna zgasił go o słupek wiaty i schował końcówkę do kieszeni. Wewnątrz zastał dwie stare kobiety i jednego bardzo starego kombatanta z grubą, drewnianą laską w ręce i szeregiem baretek na piersi galowego munduru.

O przewidzianej godzinie autobus zatrzymał się na przystanku i mężczyzna w szarawej marynarce wysiadł. Przez kilka minut szedł piechotą wąskimi ulicami przy lesie, w końcu, minąwszy furtkę, podszedł do jednych drzwi, otworzył dwa zamki i zniknął w środku.

Rozpalił w piecu, postawił garnek, do którego nalał wody. Otworzył książkę, którą wczoraj napoczął i zaczął czytać. Pół godziny później kuchnia wypełniła się parą wodną. Wstał, założył książkę kwitkiem pocztowym od emerytury i zalał herbatę. Oparł się o zlewozmywak i czekał, aż trochę przestygnie. Zza okna dochodziły niedalekie odgłosy upartego, metalicznego stukania.

Mężczyzna w szarej marynarce w kratę przysypiał pomimo hałasu. Opróżnił termos, paczka damskich papierosów była pusta. Poprzedniego dnia też zasnął, obudzili go ludzie z Komisji Budowlanej, musiał szukać zgody na rozbiórkę i wszystkich zezwoleń z zakresu bezpieczeństwa prac. Absurd, dom był rozbierany po jednej cegle, od góry. Większe zagrożenie jest przy zabawie klockami Lego. Dokumenty były aktualne. Tym razem nie pojawiły się żadne komisje, tylko monotonne skuwanie, przerywane czasem pracą śrubokrętem, kombinerkami, piłą. Wyrzucanie przez okno zlewów, rur, resztek mebli. Grunt to zdążyć przed jesienią.

- Ile to może naprawdę zająć? - zwrócił się do jednego z robotników.

- Z tym rokiem to przesadziłem. Powiedzmy - dwa miesiące. Łącznie z piwnicą i fundamentami.

Robotnik rozumiał, że dwa miesiące pracy, to dwa miesiące wynagrodzenia z państwowej kasy. Liczył na to, że niczego nie znajdą i zacznie się rozkupanie kolejnego domu. Jesień mu nie przeszkadzała. Robił swoje porządnie i sumiennie. Trafił właśnie na kawałek twardszego podłoża pod tynkiem. Dłubał powoli przecinakiem i wyciągał grudki cementu. Po dziesięciu minutach „plomba” w murze skończyła się, dalej znowu cegły. Mężczyzna siedzący na skrzyni pod ścianą wyciągnął z kieszeni marynarki telefon.

- Przyślijcie kogoś, żeby mnie zmienił. Tylko weźcie jakiegoś z olejem w głowie.

Rankiem następnego dnia przyjechała ciężarówka, w niej dwóch ludzi z łopatami - kierowca i pomocnik. Ładowali przez godzinę. Czasem odrywał wzrok

od książki i spoglądał na nich przez szparę w zasłonach. Potem odwracał się plecami i czytał dalej przy świetle wpadającym przez tę szparę. Zauważył ich wracając z baru o dwunastej. Zapomniał przed wyjściem zdjąć z pieca garnek i dom był pełen pary, wszystko poszło w powietrze. Nawet papieros nie chciał się palić. Niechętnie otworzył drzwi i jedno z okien, żeby przewiało. Chmury były takie, jak poprzedniego dnia. Wiatr też. Kucie ustało z jakiegoś powodu, słychać było tylko szuranie łopat z gruzem.

- Co to jest?

- Srebrne oprawki, chyba do wisiorków. Formy odlewnicze. Pewnie fałszowali biżuterię i sprzedawali coś, co wyglądało jak bursztynowe bibeloty, a było odlewem z jakiegoś brązowego tworzywa. Jest parę pieczętek, być może też sfalszowanych. Jakies druki po rosyjsku z Łotwy, to może dotyczyć przemytu bursztynu. Nic więcej.

- No to mamy skarb.

- Kończymy robotę? Pewnie chcesz rozkuć resztę.

- Chcę rozkuć resztę.

- Zadowolony?

- Dobrze wiesz, że nie tego szukam.

- Uparłeś się.

- Uparłem.

- Mogę zagadać ze starym. To co znalazłeś to już coś, może się uspokoi i da ci wolną rękę. Ale muszę znać szczegóły.

- Znasz.

- Znam ogólniki. Załatwię ci człowieka do pomocy, skoro tak ci zależy. Jestem po prostu ciekaw.

- Powiem ci po kolacji, dobra? Teraz to trzeba zinwentaryzować.

Kolację postanowił zjeść w barze. Wyszedł z rozbieranego domu i przyglądał się wolno czerwieniejącym drzewom wdzierającym się w zabudowania dzielnicy willowej. Chodnikiem szedł człowiek w niemal identycznej marynarce, jak jego. Może nawet kiedyś była identyczna, tylko bardzo się zużyła. Był czas, kiedy wielu Sopocian takie nosiło, choć nigdy nie aż tak bardzo wielu – to był kosztowny model.

Uśmiechnął się do siebie i postanowił do baru iść piechotą. Pod jednym z hoteli zobaczył dwie prostytutki idące w kierunku mola. Zastanowił się ile z nich właściwie zachodzi w ciążę. Teraz były już inne czasy. Skończyły się prezerwatywy „Eros”, byle jakie i niepewne. Łatwiej o prywatnego ginekologa. I nikt z tym nie czeka do porodu.

- Wiemy tylko tyle, że wyjechał stąd w połowie lat 70. i raczej nie wrócił. Mógł być chirurgiem, weterynarzem, kimkolwiek, kto potrafi... - zawahał się - no, dostać się jakoś w miarę sprawnie do flaków i nie zdemolować czegoś przy okazji obok. I że działał na własną rękę - amatorski sprzęt, amatorskie warunki. Ale był w tym dobry i dyskretny.

- Skąd wiemy, że wyjechał?

- Ta jedna, którą znaleźliśmy, zeznała, że się pakował, kiedy była u niego. Poza tym od tamtego czasu zaczęły mieć problemy ze znalezieniem fachowca. A taki urządzi się wszędzie. Coś mu widocznie zaczęło śmierdzieć i zwiął. To było mniej więcej wtedy, kiedy zaczynałem pracę, trochę się o tym mówiło i uci- chło. Jego nie znajdziemy. Może być nawet za granicą. Możemy tylko kuć.

- A ta jedna to co, sumienie ją ruszyło?

- Może.

- Miała koleżanki?

- Pewnie, że miała, ale z żadną nie ma już kontaktu, to były znajomości takie- go typu, których się nie ciągnie. Zwłaszcza w pewnym wieku, kiedy się wyjdzie z branży. I same ksywy, zero nazwisk. A ten dom, w którym przyjmował, nie był jego własnością.

- A czyją?

- Ustaliśmy, że właścicielem był jeden lokalny bursztyniarz. To była przy- krywka. Na boku wymieniał walutę z marynarzami, budynek wynajmował bez dokumentów różnym ludziom. Żaden się nie meldował. Dla milicji nie było pro- blemu, bo ani meliny, ani hałasów, wewnątrz na parterze stały te wszystkie szli- fierki do bursztynu i co tam jeszcze używał. Był zresztą warsztat i prawdziwi szlifierze. Na tym chyba też nieźle zarabiał. Facet, którego szukamy użytkował piętro. Czyli to, co rozkuwamy. Różni tu bywali.

- Co z tym cinkciarzem?

- Umarł dziesięć lat temu z okładem. Próbujemy dotrzeć do tych pracow- ników z parteru.

- To jest możliwe, że nic nie znajdziemy poniżej piętra.

- Bardzo możliwe. Nie mamy nawet pewności, że tu mieszkał. Mógł dojeżdżać lub dochodzić piechotą, a tu tylko gabinet. Mógł wszystko. Nie sądzę, żeby był miejscowy. Ale tego też nie jesteśmy w stanie stwierdzić.

Z dnia na dzień stawało się oczywiste, że praca pójdzie szybciej niż plano- wano. Rozbiórka przyciągała uwagę sąsiadów, nakręcała z pewnością spekulacje o skarbach. Domu ubywało. Na wszelki wypadek na noc pozostawiono jednego człowieka do pilnowania. Stróżujący dostał łóżko polowe i miał przyjść z wła- snym psem, owczarkiem niemieckim.

Noc była wietrzna, sucha i pochmurna. Huragan zapowiadał się od paru dni

i nie mógł przyjść. W takie noce jak ta, okolica pozbawiona blokowisk na ziemi i gwiazd na niebie stawała się naprawdę ciemna, szczególnie w stronę lasu. Wiatr od czasu do czasu podnosił z ziemi jakieś śmieci lub garść piasku i rzucał w szybę. Funkcjonariusz usnął szybko, ale obudził go pies cichym szczekaniem, jakby ktoś był w pobliżu domu. Warczał przez parę minut i uspokoił się, po czym zaczął węszyć. Zatrzymywał się w różnych kątach i co jakiś czas spoglądał pytająco na człowieka.

- Ja nie czuję tego co ty, nie wiem o co ci chodzi.

Węszył dalej, potem kładł się spać. Zasypiał też człowiek, którego po godzinie znowu budziło warczenie, znowu obwąchiwanie i znowu chwila snu. Zła, uciążliwa noc.

- Ten pies cię nie przekonuje?

- Nie. Zobacz, jest już po południu, z tego piętra wiele nie zostało. Oczywiście możemy się uprzeć, że podłoga, chociaż parkiety zdarliśmy już na początku. Możemy się uprzeć, że jakimś cudem pochował to na parterze, gdzie był warsztat. Naturalnie, trzeba szukać, ale ja już myślę co dalej.

- A co dalej?

- Trzeba sprawdzić okolice. Rozkopać działkę i sąsiednie, może kawałek lasu. Tu było sporo dziwnych interesów, za komuny miasto nad morzem przyciągało różnych cwaniaków. Te domy obok też są niepewne. Pierwszy w lewo należy do rodziny urzędników, zawsze pełny, raczej poza podejrzeniem. Ale o jeden dom dalej jest rudera, mieszka jakiś emeryt, zdaje się laborant, były wojskowy. Dom jest zaniedbany, jeśli trzeba, uzyskamy zezwolenie na rozbiórkę, a jego przenieśliśmy do jakiegoś pensjonatu. Kto powiedział, że ten zwyrodnialec to chomikował u siebie. Mógł się z kimś dogadać i to powinno być niedaleko.

- Nie ma sensu. To robota na parę miesięcy. Stary i tak się piekli, że się zajmujesz przedawnionymi sprawami. Mówi, że się robisz na starość sentymentalny.

- W tej sprawie słowo sentyment jest nie na miejscu.

- Podobno masz tu rodzinę?

- Cholera wie. Niektórzy tak mówią. Nawet nie wiem kto to by miał być.

Rozejrzał się po okolicy. Kawałek lasu, kilka miejskich działek z niebrzydkiemi domami. Ta rudera o dwie parcele w bok. Ulica, wąski chodnik. Kanały.

- W ogóle skąd wiesz, że tego trzeba szukać? Że cokolwiek jest?

- A co niby miał z tym robić? Palić w ogródku? Mielić w maszynie? Podobno tych panienek było co najmniej trzydzieści. Nie chodzi o aborcję, bo była legalna. One tu rodziły. Dlatego tak trudno je teraz znaleźć i coś ustalić.

Zapalił damskiego papierosa.

- Ten wiatr to przyjdzie dziś. Trzeba porządnie posprzątać gruz i śmieci z rozbiórki, żeby nie fruwało po całym osiedlu.

Człowiek z psem odebrał telefon, spakował łóżko do samochodu i odjechał. Prace trwały wyjątkowo długo. Przez pół dnia wywożono gruz i sprzątano. Potem wyprowadził się stróżujący funkcjonariusz, który godzinę po przyjeździe dostał polecenie wyjazdu. Robotnicy z przecinakami zeszli do pomieszczenia na parterze i w ramach nadgodzin pracowali do późna. Nikt ich nie pilnował, wiedzieli co robić. Potem zerwał się potężny powiew, zebrali narzędzia i odjechali. Nie wiadomo, czy nie powywraca drzew, lepiej nie być w tym czasie w samochodzie.

Wierzba rzuciła się w okno. Znowu była jak kot – wyszczerzyła zęby, zasycała, nastawiła pazury i wycofała się. Jakby chciała powiedzieć – nie wychodź tym oknem, bo nie ręczę za siebie. Można było jednak mieć wrażenie, że może jest odwrotnie. Że to groźby: gdyby nie ta szyba, wydrapałabym ci oczy.

Potem jedno z oczek cyklonu, cisza i znowu chłaśnięcie. Przez jakiś czas słyszał zza okna uparte, monotonne stukanie, które ustało i już tylko wierzba.

Był do tego przyzwyczajony. Poruszył go dopiero odgłos szyby wybitej w niedomkniętym oknie dwa domy dalej. W budynku zrobił się widocznie kocioł, podmuchy wpadały i odbijały się od ścian popychane następnymi. Z kolejnych okien co kilka minut sypało się szkło pękających szyb.

Postawił na piecu garnek z wodą i rozpalił mocniej niż poprzednio – robiło się chłodno. Wtedy usłyszał jakby stęknięcie w rogu kuchni.

Tapeta odkleiła się na samej górze, gdzie gromadziło się najwięcej pary i pod własnym ciężarem zaczęła powoli odrywać się w dół, do podłogi. Ściana musiała być kompletnie zawilgotniała, wyzierały plamy grzyba. W połowie tapeta zatrzymała się i zawisła, lekko bujając się wiszącą częścią, potem drgnęła, odkleiła się jeszcze trochę i znowu zatrzymała, kołysząc się nieco mocniej. To kołysanie urwało fragment starej farby klejowej, tkwiący na ścianie i tapeta ruszyła dalej w dół, tym razem do samej podłogi, na której pasek papieru położył się jak stary, zmęczony pies.

Mężczyzna patrzył przerażony. W końcu odstawił niedopitą herbatę i spięty, niechętnie poszedł w kierunku piwnicy. Podniósł z półki przy schodach latarkę, zapalił i ruszył na dół. Nie wracał przez dziesięć minut, stukał czymś i upuszczał wodę z kranu. Pojawił się z puszką rozcieńczonego kleju, rolką nowej tapety i suszarką do włosów. Suszył nią przez pół godziny kawałek nagiej ściany. Pas starej tapety podarł na kawałki i wrzucił do skrzynki koło pieca. Rozciął folię na zwoju świeżej. Zanurzył pędzel w puszcze i zaczął malować ścianę. W kilku miejscach zdrapywał resztki starej farby klejowej. Szczególnie starannie nanosił klej na niewielkich plamach cementu, które odróżniały się od zwykłego tynku. Były w trzech miejscach, jedno zachodziło częściowo na sąsiedni pas tapety. Każde było niewielkie, swobodnie zmieściłby się w nim kot. Wszedł na stół

i zaczął przyklejać. Starannie i powoli. Skończył po kwadransie. Odstawił stołek w pobliże pieca, dorzucił do ognia kilka kawałków ze zużytego pasa. Paliły się niechętnie. Włożył jeszcze kilka grudek węgla, wrócił do stołu, rozsypał bierki i zaczął dopijać zimną herbatę. Później przyniósł spryskiwacz z chemią przeciw grzybom na tynku i ponownie podłączył suszarkę do prądu. Suszył ścianę długo, aż poczuł, że suszarka parzy go w rękę. Wierzba chlustała gałęziami w okno.

- I co z tym zrobimy?

- Teraz nadaje się już tylko do rozbiórki, trzeba po prostu dokończyć.

- Stary mówi, że przekroczyłeś budżet, a ten bajzel na pewno nie pomoże. Rozniosło szkła i śmieci, ludzie się na nas wściekają. Pytają dlaczego rozbieraliśmy dom, a nie wycięliśmy tego starego drzewa, które zmiażdżyło płot sąsiada.

- Sprawa od tylu lat leży odłogiem, mamy szansę to skończyć.

- To nie hobby, to praca. Ja wiem, że ty musisz, ale znasz realia.

Mężczyzna w szarej marynarce w kratę rozejrzał się. Może lepiej było zacząć od okolicy, a nie od środka, który wydawał się punktem nie do pominięcia, choć jednocześnie najmniej prawdopodobnym.

- Dasz radę załatwić te psy?

- Nie ma szans. Skończymy tę ruinę i pomyślimy co dalej. Chcesz herbaty?

Usiedli na drewnianej skrzyni i nalali sobie z termosu. Jeden zapalił damskiego papierosa, zakaszłał i rozejrzał się dookoła. Myślał długo i palił. Ekipa remontowa sprzątała parcelę. Mężczyzna wstał i zaczął chodzić wzdłuż granic działki. Patrzył na okolicę, jakby chciał ją sprowokować wzrokiem. Splunął i zapalił kolejnego papierosa. Zanosilo się na wiatr, tym razem chyba z deszczem. Liście żółkły i lada moment te huragany zedrą z drzew wszystko. Wyjątkowo podły wrzesień. I wyjątkowo podła robota. Z tej rudery obok, z której wychodził zwykle człowiek w spłowiełej marynarce nie dochodziły żadne dźwięki, nie widać też było żadnego ruchu. Między stertami gruzu i połamanymi gałęzi ganiały się koty. I wiało. Wiało znów coraz mocniej.

Dwóch policjantów, jeden w cywilu, drugi – mundurowy, patrzyło na dużą, zaniedbaną willę pod samym lasem. Za ich plecami sterczała hałda gruzu, który kiedyś był budynkiem mieszkalnym. Przed nimi stał funkcjonalny, choć mocno zaniedbany inny budynek, przed tym budynkiem stała karetką pogotowia, a przed karetką stało dwóch sanitariuszy i dwóch szeregowych funkcjonariuszy „z ulicy”. Żadnej krzątaniny, raczej rutyna i powolność ufna w niezawodne procedury. Życie i śmierć miały od zawsze naturę mechaniczną, polegały na włożeniu lub wyjęciu z ciała elementów motorycznych. Człowiek, którego wynoszono był pozbawiony elementów motorycznych, składał się już tylko z części zamiennych. Cały był zamienny na coś innego, cokolwiek. Ten w mundurze odezwał się:

- Na razie nie wiadomo nic. Ani czy ktoś to dziedziczy, ani czy w ogóle miał rodzinę. W ogóle niewiele o nim wiemy.

- To mogło być zabójstwo?

- Raczej nie, to wypadek. Poraził go prąd z suszarki, w tym domu wszystko było stare, a do tego wilgotne.

- Szkoda.

- Zabójstwa ci się marzą?

- Nie. Ale jakby to było zabójstwo, to mógłbym jeszcze trochę poszukać tego, czego szukam.

- Może rozbiorą ten dom, jak się okaże ruiną. Ale nie liczyłbym na to, że stary wznowi dochodzenie po tym jak rozwaliliś to... - wskazał za siebie na stertę gruzu po zburzonym domu - tę melinę. Niech będzie. To nic nie zmienia.

- Może damy radę jakoś wymusić wyburzenie tego. Z powodu niezdatności do zamieszkania.

- Masz obsesję. Wyburzyłbyś całe miasto, nic nie znajdziesz.

- Znajdę. To musi gdzieś tu być.

Podszedł do nich sanitariusz.

- Możemy go zabierać?

- Tak, widział pan coś ciekawego w środku?

- Bałagan. Wilgoć.

- A mury?

- Podłoga - jakiś stary parkiet, na ścianach gruba tapeta. Chyba przyklejał nową, bo jest świeża, a przepalona suszarka leży obok. To go musiało załatwić.

- To już my ustalimy. Dziękuję.

Sanitariusz odszedł, karetka odjechała.

- Załatw mi badanie tego domu.

- Nic z tego. Stary się wścieknie. Daj sobie spokój.

- To obejrzę go sobie chociaż.

- To obejrzyj, ale nic nie ruszaj. Broń Boże nie tykaj tej tapety.

- Wiem przecież. Jak skończę z tą robotą, przyjdę tu sam. Do emerytury niewiele.

- To nic mi nie mów, bo cię aresztuję.

Mężczyzna w szarej marynarce zapalił damskiego papierosa. Mundurowy myślał o czymś przez chwilę.

- Wiesz, ten facet był nawet trochę do ciebie podobny.

- Zbieg okoliczności.

- Być może. Dziwna jest ta cała historia.

- Teraz to już nieważne. Ta dziwna historia jest zamknięta, a my nic nie wiemy.

Do sterty gruzu na sąsiedniej działce podjeżdżała ciężarówka. Wysiedli

z niej robotnicy w grubych rękawicach i zaczęli przerzucać pozostałości budynku. Zrobił się hałas. Policjanci wsiedli do radiowozu i odjechali. W zawilgoconym domu, ze ściany obok pieca zaczął się odrywać pas tapety. Specjalista policyjny badał suszarkę. Wierzba ocierała się o okno, wiał łagodny wiatr i najwyraźniej szło ocieplenie. Później zjawił się jeszcze specjalista budowlany i dużo rozmawiał przez telefon. Po kilku godzinach zamknięto dom i powieszono tabliczki NIE WCHODZIĆ – GROZI ZAWALENIEM oraz PRZEZNACZONE DO ROZBIÓRKI.

III NAGRODA

KRZYSZTOF MARTWICKI

DZIENNIK LILIPUTÓW. 1933. (FRAGMENTY)

Byłem niski, bardzo niski, jeszcze bardziej niż niski. Tak niski, że gdybym zniknął, nikt by tego nie zauważył. Byłem karłem. I moja siostra, Anielka, także. Graliśmy w cyrku. Przez całe życie bawiliśmy publiczność, nic więcej. To był zaledwie dym i lustra, farba do malowania twarzy, za duże buty, czerwony nos, pstry kostium i kilka nużących, wyuczonych na pamięć sztuczek - oto całe nasze życie. A że się śmiali, klaskali, ani to nasza zasługa, ani вина. Pewnie po prostu bywaliliśmy potrzebni, jak grzebień czy talerz. Zawsze dobrze je mieć pod ręką. A jak nie są akurat potrzebne, to się o nich nie myśli i zapomina, i tak jest dobrze. O nas też nie pamiętano, i dlatego ten kajet. Zimą trzydziestego drugiego zostaliśmy zaangażowani do słynnego w całej Europie berlińskiego zespołu Frau Schäfer. Wtedy postanowiłem zacząć pisać dziennik.

Berlin, 3-I-1933 r.

Pierwsze nasze Boże Narodzenie poza Polską. W dniu wigilijnym około ósmej wieczór podzieliśmy się opłatkami we czworo: nas dwoje, Krysia i Franek, ten, co to przybył do zespołu w Bytomiu. *Ślónzok, ale przeca jo z Poloków.*, wyjaśnił i aż mu się łza zaszkliła w oku. Nam zresztą też. Wcześniej próbowaliśmy nakłonić Hugo, czyli Janka Pastusiaka, żeby przyłączył się do naszej polskiej garstki wigilijnej, ale wymówił się jakoś i zniknął z domu. *On chyba świąt w ogóle nie uważa...*, w głosie Krysi zabrzmiał ten jej praski, plotkarski ton, *i dlatego. Taki jeden mój wujo spod Garwolina też nie uważa żadnych świąt, i zawsze siedzi sam i smutny. Ale co tam się dziwić, skoro jest tym, no..., komunistą.* Po złożeniu sobie życzeń, odśpiewaliśmy kolędę „Wśród nocnej ciszy“.

Przed uroczystą kolacją w gronie całego zespołu ustawiono na stole talerze, a na nich jabłka, pomarańcze, orzechy, ciasteczka, czekoladę, a obok położono

święteczny prezent, opatrzony karteczką z imieniem. Otrzymałem w podarunku srebrny zegarek z paseczkiem na rękę. Zegarek jest śliczny, ma świecący cyferblat, na którym można widzieć w ciemności. Anielka też otrzymała jakieś precjozum, ale szybko schowała i za żadne skarby nie chce mi wyjawić, co to takiego. Dziwna się robi ta moja siostrzyczka, doprawdy.

Po kolacji nasza polska garstka znowu się zebrała w salonie. Pojawił się także Hugo. Nad wyraz wesół i zarumieniony. Był, jak się wyraził, na długiej, bardzo długiej przechadzce. Pachniał śnieżnym powietrzem i alkoholem. Zaczęliśmy sobie gawędzić, jak u kogo spędza się Boże Narodzenie, co się jada na wigilię i w ogóle w święta. Przy okazji ktoś mi przypomniał, że kiedyś obiecałem podyktować przepis na niezwykle bigos z książki kucharskiej *Ćwierczakiewiczowej*. Pobiegłem więc do swego pokoju po książkę. Kiedy rozpocząłem lekturę, już po kilku zdaniach zgromadzeni rodacy nie wytrzymali i zaczęli wtrącać każdy swoją opinię na temat udanego bigosu. *U nas w domu pod Druskiennikami do bigosa dodajiesz garsteczkę suszanych prawdziwków.*, powiedziała Wala, *I winne jabłuszko, przenigdy inaczej. A u mnie jeszcze suszone śliwki węgierki.*, dorzuciła Krysia. *I miód, koniecznie łychę miodu.*, włączył się Hugo, *O, taką warzuchew!*, i pokazał zaciśniętą pięść. *No więc...*, chrząknąłem, *wracając do przepisu, cytuję: do rozgrzanej już kapusty kwaszonej należy powoli, stopniowo dodawać słodką...* Guzik prawda, *wcale nie powoli!*, zaprzeczyła Krysia, *Nie ma na co czekać - od razu całe pół główki kapuchy do gara i mieszasz, mieszasz! Nie feflaj, Krycha.*, odezwał się Franek, *Ciepać wszystko trza lankzam, nie gibem, Sztefek richtik godo.* Krysia spojrzała na niego z ukosa. *A mnieś zdejje*, śpiewnie zagaiła Wala, *że wszystko w tem bigosie jest dobrze, skoro sie sierdcem robi, ot co. Serce sercem, Wala, Hugo podniósł do góry palec wskazujący, ale jak bigos za chudy albo dajmy na to za kwaśny, taki że aż za uszami drze, to przecież takiej czarnej polewki na stół nie dasz, prawda?* Zgromadzeni zgodnie pokiwali głowami. *W ogóle z bigosem trzeba dostojnie.*, podjął wieszczym tonem. *Bo przecież bigos najprawdziwszy, moi państwo...*, zawiesił głos, poniósł się i stanął w romantycznej pozie, *Taki bigos najrzetelnijszy, taki najnasz, najpolski, czyli bigos póki my żyjemy, to nie jest jakaś tam potrawa, o nie! To...*, znowu zawiesił głos, tym razem na dłużej i trzymał go w gardle zduszonym, uwięzłym niby orzeł w okowach, i znać było jasno po jego rozpalonych żrenicach, po zmiętej na piersiach beliźnie i po całej figurze, że ma dla nas wieść niebywałą, tylko racja jakaś nie pozwala mu jej wyjawić. I trzymał ów głos z bolesnym grymasem na poblądłej twarzy, szukając w nas współczucia. Zaglądał nam w oczy, chwycił za rękę, wskazywał jakąś oddal, marszczył czoło i kazał nasłuchiwać ech niepodległych. Czy surmy tam grały, czy raczej nikt nie wołał, tego się już nie dowiemy... *Takiż bigos, rodacy, to... fortepian Szopena!!*, wyrwało mu się wreszcie z piersi, aż wszyst-

kim ciarki przeszły po plecach i spojrzeliśmy na niego z uznaniem. Spostrzegł to i uśmiechnął się pod wąsem. *Bigosowi jednakże nie zaszkodzi*, szelmowsko mrugnął okiem, *kieliszeczek dobrej gorzałki. Jo, jo, glaska sznapsa, mosz recht.*, ożywił się Franek. Nikt jednak nie podjął tego wątku. Za to oczy wszystkich utkwily gdzieś w dali, w jakichś myślach przyjemnie smętnych. I można by przysiąc, że były tam wierzby, piaszczyste sośniny, żyto, kartofliska i krzyże na rozstajnych drogach. Niemen tam świteział i familoki, i dzwony były na Anioł Pański, i bociany klekotały, i Rydel chłopiał na weselu, i nie było wiadomo, czy erzet, czy zet z kropką...

Czegoś jednak mi brakowało w naszej pogawędce o bigosie i teraz w tym wymownym, wygnańcym, polskim milczeniu tu, na berlińskim bruku. Zabrakło jakiegoś istotnego detalu, coś było jeszcze niedopełnione, niekompletne, niedosolone czy niedosmażone. Czegoś w naszym polskim bigosie zabrakło, by do cna był polski. Nie wiedziałem jednak, czego.

Ta nasza zaduma trwała już dobrą chwilę, kiedy nagle odezwała się Tosia, która do tej pory milczała jak zaklęta. *A u mnie w domu bigos jest z wołowiną i na słodko, z rodzynkami.*, powiedziała cicho, *Tylko ta wołowina koniecznie musi być koszer...* Aż uśmiechnąłem się do własnych myśli. Zamknąłem książkę kucharską. Nie była już potrzebna. Polski bigos był gotowy.

Berlin, 8-I-1933 r.

Wanda, nasza siostra, właśnie rozpoczyna kurs krawiecki. Przysłała list tłumacząc, dlaczego tak długo nie było żadnych wiadomości z domu. „Tak się złożyło, pisze, że jak był czas, to nie starczało na znaczek, a kiedy chciałam napisać kartę pocztową, to rodzice twierdzili, że się nie opłaci, bo niewiele się na niej zmieści, więc tak się zeszło. Tuż po Nowym Roku zaczęłam chodzić do pani Janiszewskiej, krawczyni, na tak zwaną płatną naukę. Za cały kurs chce sto trzydzieści złotych w dwóch ratach. Rodzice postanowili poświęcić na pierwszą ratę prawie całą sumę, jaką nam ostatnio przysłałeś. (...) Przez te kilka dni nauczyłam się już ogólnych zasad kroju i dobierania towaru. Pani Janiszewska jest bardzo cierpliwa i wszystko potrafi jasno wytłomaczyć i pokazać.

Z innych nowin donoszę Ci, braciszku, że w naszym gospodarstwie mamy obecnie osiem ładnych jarzębatych kurek i dziewiętego koguta, a ponadto dwa świniaki i cztery kaczki. W zeszlą śródę zdechl Komar. Miał siedemnaście lat. Jak na kota, to bardzo dużo. Ostatnio wypadł mu ostatni ząb i bardzo schudł. Znalazła go Stasia, zwiniętego w kłębek na śniegu. Już nie oddychał.”

Berlin, 11-I-1933 r.

W towarzystwie od rana wrze. Jak grom z jasnego nieba spadła na kilkoro z nas, wtajemniczonych, wieść, że jedna z osób naszego zespołu cierpi na niezwykle rzadką chorobę umysłową. Uważa mianowicie, że ma za dużo kończyn, i że przynajmniej jedna noga lub ręka jest mu lub jej zupełnie zbędna! Podobno nieszczęśnik ów, bądź nieszczęśnica, powziął nawet odpowiednie starania w celu amputacji całkowicie zdrowej, ale nieakceptowanej kończyny. Spotkało się to jednakże z kategoryczną odmową lekarza, polegającą, jak wieść niesie, na klinicznym popukaniu się w czoło i prośbą o łaskawe opuszczenie gabinetu. Bolesnie odtrącona, osoba cierpiąca na wyżej wymienioną, dziwaczną przypadłość w desperackim przypiływie szczerości miała jakoby wyznać to wszystko sekretnie komuś nad wyraz wiarygodnemu. Niestety, ani nie wiadomo, kim jest ten chory z urojenia, ani kto był powiernikiem jego przerażającej tajemnicy. Jednym słowem, „akcja się wikła i jest mnóstwo zabawy”, a nade wszystko – życiodajnych plotek. *Już wiem, kto to jest!*, oznajmiła Krysia podczas obiadu. Oczy wszystkich skierowały się na nią, zamarł szmer rozmów, zamilkły wszystkie noże i widelce. *Ich weiß, wer es ist*, powtórzyła dobitniej, *ale... nie powiem!*

Chwilami zaczynam rozumieć Hugo czy Roberta Fledermausa, Nietoperza, dlaczego tak się izolują od towarzystwa. Hugo wychodzi z założenia, że im mniej wiesz, tym zdrowszy umrzesz. *A na co mi się przyda wiedzieć*, lubi powtarzać, *kto z kim, i czyjej matce z domu było Zawierucha, no sam powiedz?* Osobiście, przyznaję mu w duchu rację, a nawet szczerze podziwiam tę jego obojętną dyskrecję, jednak mi go żal, bo w oczach większości jest tylko mrukliwym gburem. Podobnie Nietoperz, który z tym swoim wiecznym przekąsem w oczach wychodzi bez słowa, kiedy wszyscy bawią się w najlepsze. Co ciekawe, obaj jegomości nawzajem się nie lubią. Kiedy któregoś razu w towarzystwie pochwaliłem występ Roberta na trapezie, Hugo się skwasił. *Wielki mi artysta, ten cały... nietoperz!*, fuknął, *Luft mysza zawsze się czepia sznura, i tyle!*

Berlin, 25-I-1933 r.

Niemal rok mija, jak jesteśmy poza Polską. Te jedenaście miesięcy przeleciało, jak pocisk karabinowy! Kiedy sobie czasem wspomnę to warszawskie fatalne położenie finansowe sprzed roku, to ciągle zdobywanie paru groszy, żeby przeżyć kolejny dzień, i ten cały podły łaskawy chleb, to nabieram przekonania, że nasz wyjazd z Anielcią za granicę jest wielkim szczęściem. Tym bardziej, że w ostatnich dniach dyrekcja zrobiła nam kolejny, wspaniały prezent. Frau Schäfer poprosiła nas swego gabinetu i wypłaciła obydwie gaże, Anielki i moją, z góry, i to za cały rok! Własnym oczom i uszom nie chciałem wierzyć słysząc to i widząc dwie, grube koperty wypełnione pieniędzmi. Usiłowałem taktownie protestować, ale dyrektorka stanowczo, ale z uśmiechem kazała *brać, nie pytać, podpisać tylko pokwitowanie, o tak, tutaj na dole..., dziękuję, i biec na zakupy.*

Przecież gdybym nie była w stanie, wyjaśniła, to bym tego nie robiła, das ist doch klar. Ale skoro mogę, to czemuż by nie? Aha, i kupcie sobie coś ładnego, za kilka dni wyjeżdżamy na arcyważne tournée do Holandji. Trzeba wam wiedzieć, dodała ciepłym głosem, że Holandja to jakby moja druga ojczyzna, a poza tym - szczerze uwielbiają tam cyrk.

Amsterdam, 2-III-1933 r.

Amsterdam zrobił na mnie niezatarte wrażenie na widok licznych mostów z kanałami. Sztuka budowlana zasługuje tu na szczególną uwagę i podziw. Całe miasto zbudowano nad wodą, na palach wbitych w grunt morski. Większość wąskich ulic biegnie wzdłuż kanałów. Już pierwszego dnia naszej bytności tutaj udałem się na długi spacer i o mały włos, a zablądziłbym wracając, tak wiele tu uliczek, mostków i zaułków. Krzyżuje się to wszystko pod dziwnymi kątami, wyrasta jedno z drugiego, nieoczekiwanie pierwsze piętro przeistacza się w parter albo na odwrót! A dodatek wszystkie domy podobne są do siebie, jeden w drugi. Schludny labirynt z czerwonej cegły. Kiedy mocno spóźniony, pojawiłem się na próbie, Frau Kati od razu wiedziała, w czym rzecz. *Byłeś może na spacerze w mieście?*, zapytała z pobłażliwym uśmiechem.

Jednostka monetarna Holandji, floren, popularnie zwana guldenem, ma dużą wartość. Gulden dzieli się na sto centów. Dziesięć centów w srebrze jest to tak małeńki pieniążek, że można by go przyjąć jako monetę naszego „Państwa Liliput”. Mowa holenderska niewiele różni się od niemieckiej i dlatego wszędzie można się porozumieć po niemiecku. Nasze bajkowe miasteczko postawiono w ogromnej hali przemysłowo-handlowej, Dameskroniek R. A. J. Gebouv. Idealnie sprawdza się to, co mówiła Frau Schäfer **przed wyjazdem do Holandji: frekwencja widzów i aplauz - wyborne.**

Amsterdam, 6-III-1933 r.

Wanda napisała: „Kochany Stefcu, dziękujemy Ci za widokówkę z Amsterdamu. Nie mogłam się doczekać adresu od Ciebie, by się podzielić z Tobą wiadomościami jak najprędzej. (...) Kochany Braciszku, donoszę Ci, że do tej pory czuję się dobrze, pomimo, że byłam dwa razy na balu w karnawale. Wprowadziłam ludzi w podziw i jeszcze bardziej zainteresowali się mną. Przez te dwa bale nic, ale to zupełnie nic mnie nie bolało! Ani przed, ani po! Wyobrażasz to sobie?!

Nie wiem, Stefcu, czy dobrze znasz Waclawa D. Przychodzi on do mnie w zamiarach. Dopomina się ode mnie słowa, czy wyjdę za niego. A ja bym nie była rada wiązać się z nikim danym słowem, bo przecież nie wiem, co może wydarzyć się za rok, gdy kurs szycia ukończę. Mówię mu w ten sposób, ale on jakby w ogóle nie słyszy, i koniecznie dopomina się odpowiedzi - tak czy nie.

Nie wiem więc, co na to odpowiedzieć, i co się rozegra w najbliższych dniach, także nie wiem. Moim życiowym dążeniem jest, by osiągnąć swój cel, którym jest ukończenie kursu krawieckiego, a co do zamąż-wyjścia, to mnie jeszcze nic nie pociąga. Nie wiem, może jeszcze nie natrafiłam na swego księcia? Jakie są Twoje zapatrywania pod tym względem?

Ktoś w Strzegowie puścił taką fałsz, że mama dlatego tak choruje, bo Ty, Stefciu, ożeniłeś się i dlatego już nie przysyłasz nam pieniędzy.”

Amsterdam, 16-III-1933 r.

Odpisałem na list Wandzi. Napisałem, że w sprawie zdrowia mamy uważam, że nieodpowiednio się odżywia. W domu używa za wiele kwasów, które źle oddziałują na organizm. Należy przede wszystkim unikać octu, a mama lubi przyrządzać na śledziach rosołek z octem. Różne jarzyny i leguminy należą do najlepszych środków odżywczych, jak również mleko i jaja. Napisałem, że jeżeli, jak pisała wcześniej Wandzia, posiadają osiem kur, to niech jajek nie sprzedają, tylko je wykorzystują na swoje pożywienie. O zamążpójściu Wandzi napisałem, żeby jeszcze poczekała, jest młoda, ma czas. Jeszcze znajdzie tego swojego księcia z bajki, na pewno. O strzegowskich plotkach nic nie napisałem.

Amsterdam, 27-III-1933 r.

W Amsterdamie zimno. Od strony morza, z północy, ciągle wiele lodowaty wiatr. Wiosny jeszcze nie widać. W wolnej chwili odebrałem fotografie Anielki. Jutro poślę do Strzegowa. Pewnie w domu będą się mocno dziwić, że Anielcia ma taką drobną buzię. Ale to tylko dlatego, i na szczęście dlatego, że ma teraz bardzo gęste włosy, wobec których twarzyczka drobnieje, kryjąc się pod ich puklami. Jeszcze w Berlinie, kiedy Frau Schäfer pierwszy raz była z nią u fryzjera, to ten stwierdził, że ogólnie jest *sehr vernachlässigtes, bardzo zanedbana* i prawdopodobnie już nigdy nie będzie miała pięknych włosów. Wtedy Frau Schäfer kupiła dla niej kilka butelek specjalnego szamponu „Schwarz&Kopfa” do pielęgnacji słabych włosów, no i efekt już mamy.

Den Haag, 9-V-1933 r.

Przyjechaliśmy do Hagi wczoraj późnym wieczorem. Rozlokowano nas w schludnie ustawionych wzdłuż wysokiego parkanu „wozach Drzymały”. Wewnątrz pachniało lawendą i świeżo zmienioną pościelą. Na każdym stoliku nocnym leżała oprawiona w czarną skórę Biblia. Zmęczeni podróżą, niemal od razu zasnęliśmy.

Dziś rano okazało się, że miejscem naszego postoju jest... ogród zoologiczny. *A więc, koledzy i koleżanki, najbliższe dni spędzimy między żyrafami i szympanсами!*, pomstował Hugo, pociągając co i raz z piersiówki., *Wreszcie ktoś*

nam pokazał, gdzie nasze miejsce! Próbował nawet kogoś częstować, ale ten odmówił. Ach, prawda, przecież zwierzęta nie piją!, skwitował gorzko i odszedł podśpiewując „La vie est belle...”

Tu w haskim zoo co roku organizuje się tak zwany „Voorjaarsfeest”, czyli święto wiosny. Zainteresowanie publiczności naszym przybyciem jest wielkie. Ciekawscy zaglądają przez ogrodzenia do naszego obozowiska, byle tylko, choćby z daleka, podejrzeć, jak wyglądamy i jak się zachowujemy.

Den Haag, 14-V-1933 r.

Zainteresowanie naszymi występami nie słabnie, jednak ogólny nastrój w zespole nie pozwala się cieszyć. Wczoraj wieczorem, kiedy położyliśmy się spać, koledzy zaczęli rozmawiać o wydarzeniach politycznych w Niemczech. Po pewnym czasie do rozmowy włączył się kolega Fritz, Austriak z Wiednia. Powiedział, że *wszystko się układa pomyślnie, gdy Hitler doszedł już do władzy. Nie wiadomo jednak, jak na to zareagują sąsiedzi, a zwłaszcza ten nieznany lud polski, te Schweinehunde, świńskie psy. Mogą przeszkodzić w jego polityce i planach, jakie opisał w swojej książce pod tytułem „Mein Kampf”*. Nie wytrzymałem obelżywego przezwiska pod adresem polskiego narodu. *Słuchaj no, Fritz, odezwałem się, gdyby nie te polskie, jak się wyraziłeś, „Schweinehunde”, byłbyś dzisiaj Turkiem, wiesz o tym? Kto przyszedł wam na pomoc przeciw Turkom? No powiedz, kto?!*, podniosłem głos. *Nie tylko Polacy przyszedli na odsiecz pod Wiedeń.*, odpowiedział Fritz, *Byli tam też i Czesi, i Węgrzy, i jeszcze inni... Ale kto objął naczelną komendę nad nimi, no kto?!*, huknąłem. Fritz zamilkł i odwrócił głowę. *Nawet nie chcesz pamiętać, Fritz, że był to polski król, Jan III Sobieski. I to on wam tylko uratował. Pamiętaj o tym, Niemiaszku! Jestem Austriakiem!*, oburzył się Fritz. *Ale myślisz jak Niemiec.*, odburknąłem na dobranoc.

Wiele takich i innych uszczypliwości muszę znosić na co dzień. Niby wszystko jest w porządku, niby w naszym zespole jesteśmy dla siebie mili i nikt nikomu źle nie życzy, ale od jakiegoś czasu zawisła nad nami jakaś dziwna aura. Zaczynamy się nawzajem podejrzewać, obserwować, powstają plotki i zawiści. Nikt tego głośno nie mówi, ale powoli staje się oczywiste, że dzieli nas polityka.

Den Haag, 15-V-1933 r.

To zaden wstyd, Stefan, zaden., Hugo pokręcił głową, *Ojciec Haydna był kołodziejem, i dziadek Chopina też*. Powtórzyłem to przy najbliższej okazji, kiedy ktoś z niemieckiej części towarzystwa cyrkowego próbował mnie poniżyć, nazywając „małym synem stelmacha”. *I pan Haydn, i Chopin byli z rodzin kołodziejów.*, podkreśliłem dobitnie. *A kto to był ten, jak mu tam... Chopin?*, zapytał ten ktoś, szczerze zaskoczony. Czasem ręce opadają, jak się widzi poziom

umysłowy tej całej niby „Herrenrasse”, rasy panów. *Kim był Fryderyk Chopin? Synem Haydna, przecież!.*, odpowiedziałem absurdalnie i ze złością. *Ten ktoś popatrzył na mnie, zmarszczył czoło, pokręcił głową i nic nie rozumiejąc, poszedł sobie. Ty też jesteś niski!*, zawołałem za nim, *I nigdy już nie urośniemy, wiesz!* Zatrzymał się, odwrócił, otworzył usta, ale... zapomniał języka w gębie. Okazuje się, że wystarczy szczypta ironii czy słowiańskiego, spontanicznego czy choćby gorzkiego humoru, a pozał się Boże „rasa panów” od razu traci grunt pod nogami.

Berlin, 21-VI-1933 r.

Ostatnio Anielka lubi chodzić za nami i nucić melodię „Marsza weselnego” Mendelssohna. Do tej pory złościłem się na nią tylko dlatego, że jeśli chodzi o mnie i o Klarę, to przecież jeszcze nic nie wiadomo, co z tej naszej wielkiej miłości wyjdzie. Ale dziś, kiedy usłyszałem, jak skrada się na korytarzu, a potem już w pokoju jadalnym wobec całego towarzystwa zaczyna głośno wyśpiewywać pierwsze takty marsza, nogi się pode mną ugięły. Natychmiast kazałem jej się uciszyć. *Nie rób tego nigdy więcej, bo ściągniesz na nas niebezpieczeństwo.*, skarciłem ją po polsku, *Nigdy więcej, rozumiesz? A przynajmniej nigdy tu, w Niemczech.* Wystraszona, patrzyła na mnie nic nie rozumiejąc. *Później ci wszystko wyjaśnię, teraz idź jeść.*

Sam od tej pory nie byłem świadomy, że Mendelssohn był Żydem i teraz jego muzyka jest w Niemczech zakazana. Wczoraj Frau Schäfer zawołała mnie do siebie na słówko i poprosiła, żeby nie kusić losu. Już ktoś zdążył jej donieść, że Anielka chodzi i podśpiewuje różne zakazane melodie, a przez to psuje, jak się wyrażono, „czystą atmosferę w zespole”. I że jest to „sehr inakzeptabel“, wielce nie do przyjęcia. *To piękna muzyka, Herr Steffen, na wskroś niemiecka*, tłumaczyła, *ale... besser nicht, lepiej nie. I Chopina też niech lepiej nie nuci. Takie czasy mamy, niestety...*

A czy ten Mendelssohn zrobił coś złego?, Anielka zapytała mnie po obiedzie. *Nie zrobił nic złego, wręcz przeciwnie, ale nie wolno go tu grać, ani nawet nucić.*, próbowałem tłumaczyć. *On był Żydem.*, włączyła się Klara. *To co z tego, że Żydem?*, Anielka dalej nic nie rozumiała. *Hitler i sporo Niemców myśli, że jak ktoś jest Żydem, to robi same złe rzeczy, że jest pasożytem.*, wyjaśniłem najprościej, jak tylko można. Anielka posmutniała. *To Frau Schäfer też tak myśli?*, zapytała po chwili. Popatrzyliśmy z Klarą na siebie i oboje pomyśleliśmy to samo. Że jak dotąd nigdy nie zastanawialiśmy się, co Frau Schäfer myśli o partii Hitlera i o tym, co od dobrych kilku lat dzieje się w jej kraju. *Frau Schäfer jest dobrą kobietą i nie chce nic złego dla nikogo.*, uspokoiłem Anielkę. *A Frau Kati, a Rudolf?*, drażyła Anielka. *Kati myśli tak samo jak jej mama.*, zapewniła Klara. *A Rudi? Czy on też nie lubi tych Żydów?*, Anielka zadrżała mi

w oczy, Ty musisz wiedzieć, Stefek, bo to przecież twój dobry kolega. Rudolf jest Austriakiem, więc..., zająknąłem się. A jaka jest różnica między Niemcem a Austriakiem?, Anielka nie dawała za wygraną tymi swoimi tylko z pozoru dziecinnymi pytaniami. Austriacy smażą lepsze sznycle., Klara próbowała całą sprawę obrócić w żart. O, właśnie, sznycle!, szybko przytaknąłem, siląc się na uśmiech. Anielka spojrzała na mnie z ukosa i zasmuciła się. Ale czemu masz taką minę, Anielciu?, Klara objęła ją ramieniem, Nic się nie bój, jesteś z nami. Jak chcesz, to nauczę cię kilku melodii skocznych czardaszy i będziesz sobie mogła wyśpiewywać, ile tylko dusza zapagnie! A teraz już rozchmurz się, proszę. Wcale nie jestem smutna., burknęła Anielka, I nie mówcie do mnie jak do dziecka, bo ja już jestem duża! Duża, słyszycie?!, tupnęła nóżką, I wszystko sama wiem! Jeszcze raz tupnęła, tym razem głośniej, i poszła sobie. Usłyszałem, jak idąc korytarzem, zaczyna coś nucić. Nie jestem pewien, ale bodajże to był szlagier „Miłość ci wszystko wybaczy“ Ordonki.

Wieczorem Klara cicho weszła do mojego pokoju i zamknęła drzwi. Miała oczy pełne niepokoju. Stefan, powiedz mi, co się właściwie dzieje?... zapytała, siadając na brzegu mojego łóżka. Hugo znowu pospierał się z Paulem. Poszło o ten wasz dziwny Gdańsk i jeszcze jakiś..., bodajże korytarz. Aż musiała interweniować pani Kati, bo wzięli się za uszy. A przy okazji ogłosiła, że na początku przyszłego tygodnia przyjdą jacyś ludzie z urzędu do spraw ras i mają nas wszystkich fotografować. Stefan, ja tego wszystkiego nie rozumiem. Czego ci Niemcy chcą?... Niemcy wierzą w jakieś dziwne siły., powiedziałem, Że niby to ich dawni bogowie, ukryci od tysiąca lat w lasach, powstaną i zwyciężą. Fritz czytał mi fragment tej całej „Mein Kampf” Hitlera. To niby takie germańskie bajeczki trzy po trzy, ale bardzo, bardzo niebezpieczne. To już nie bracia Grimm, Klara, to narodowy socjalizm... Klara zapaliła papierosa. Boisz się?, zapytała. Tych bajek nie, ale tego, co oni z nimi robią. Jak dalej pójdzie w tę stronę, co ostatnio, w sensie wyborów i zapowiedzi po nich, to wojna murowana. I to pewnie światowa, jak ta z czternastego roku. A ja myślę, że Hitler nie dotrwa do następnej kadencji., w głosie Klary był optymizm, Zobaczysz, ktoś się wreszcie przebudzi i pogonią go. Z niedowierzaniem pokręciłem głowę. Nie po to go właśnie wybrali, żeby zaraz zmienić zdanie., odparłem, Klara, zrozum, to są Niemcy, a nie jakieś chorągiewki na wietrze. To nie Francuzi, „girouettes”, co to jak byle wiatr zawieje, to zmieniają zdanie. Dobrze, ale jest jeszcze opinia światowa, prawda?, Klara wypuściła duży kłęb dymu, Jest... No, właśnie, Francja, jest Anglia, są Rosjanie. Nikomu nie jest na rękę, żeby znowu się w świecie zakotłowało. Przecież jest jeszcze Liga Narodów, no i Ameryka. Zobaczysz, jeszcze miesiąc, dwa i po tej całej partii Hitlera nie będzie śladu. Mówiła to z całym swoim naiwnym przekonaniem, że wszystko musi zawsze wziąć lepszy obrót. Mówiła też jak ktoś, kto miał dotąd szczęście, bo nigdy nie zetknął się

z całą brutalnością tkwiącą w niemieckiej naturze. *Pamiętasz ten mały sklepik na rogu Kuhnstraße?*, zapytałem, *Ten, gdzie kupowałaś herbatę Pullmanna? Pamiętam...*, Klara zmarszczyła czoło nie wiedząc, o co chodzi. *Ten sklepik miał Żyd. Kiedy ci w brązowych koszulach wybijali witrynę i demolowali środek, to jakoś ani Anglia, ani Francja, ani Liga Światowa, ani Rosja Radziecka jakoś nie interweniowały. Nikt nie kiwnął palcem, kiedy tego sklepikarza kopali w brzuch, nikt. Sam widziałem. Przesadzasz, Stefan.*, Klara wyduła wargi, *To tylko prosty Żydek... Tak samo mogą kiedyś powiedzieć na przykład o Polsce, o Belgii, a może nawet o twoich Węgrzech.*, odparłem, *Że to nic, przecież to tylko takie małe państewka... Znowu przesadzasz, mój ty proroku.*, w kąciakach warg Klary pojawił się pobłażliwy uśmiešek. *Chcę, żeby to była przesada, Klarcu, bardzo chcę, ale coś mi mówi, że będzie inaczej. Zresztą, sama widzisz, co się dzieje choćby w naszym zespole. Kiedyś tego nie było. Kiedyś, ba, jeszcze pół roku temu byliśmy jak jedna rodzina. Nikt nawet nie pomyślał, żeby rozmawiać o polityce. A teraz ciągle jakieś kłótnie czy spory albo milczenie, uniki, szeptanie po kątach, przyglądanie się uszom, zaglądnienie sobie w życiorysy. Po co na przykład było to dziwne polecenie dyrekcji, żeby dostarczyć akty chrztu? A kto nie dostarczył, od razu jest podejrzany. To wcale nie był pomysł pani Schäfer.*, Klara energicznie zaprzeczyła, *Ona została zmuszona. Panna Hannelore mi opowiadała, że był u dyrektorki ktoś z Rathausu, jakiś specjalny urzędnik. Zażądał teczek personalnych aktorów i całego personelu. Długo je przeglądał i coś notował. Podobno, kiedy wyszedł, pani Schäfer się popłakała. „Jaka ja byłam głupia.*, miała powiedzieć, *W swoim czasie trzeba było posłuchać męża i przenieść siedzibę do Amsterdamu. Holandia to jest wolny kraj”.* Pomyśl jej czy nie jej, wzruszyłem ramionami, *nie to jest ważne, Klara. Najważniejsze, co dzieje się pomiędzy ludźmi. Że zaczynają się dzielić i bać. A jak ktoś zostaje sam i się boi, to wtedy można z nim zrobić wszystko. O to w tym wszystkim idzie. Ale my nie jesteśmy sami, Stefan.*, Klara wzięła mnie za rękę i zajrzała w oczy, *Mamy siebie, prawda?*

Rzym, 18-XI-1933 r.

Jesteśmy w Rzymie już od sześciu dni, a dopiero dziś mam czas i sposobność, żeby zajrzeć do mojego kajetu i zanotować kilka myśli. Podróż z Rotterdamu trwała dwa dni i jedną noc. Przejechaliśmy przez cztery kraje - Belgię, księstwo Luksemburg, Francję i Szwajcarię, i zanim dotarliśmy do kraju włoskiego, widzieliśmy wiele cudnych krajobrazów. Tyle piękna jest na świecie, tyle wspaniałości w naturze, że trudno opowiedzieć! Przejeżdżając przez Szwajcarię i północną Italię, nie mogłem oderwać się od okna wagonu i jak małe dziecko z otwartymi ustami podziwiałem wznoszące się na zboczach ogromnej góry miasto Logano. Iluminowane oświetleniem elektrycznym, przypominało wielką

i kolorową choinkę. Kiedy indziej, tuż po wschodzie słońca, widziałem jaśniejące powoli niebo w gładkiej jak lustro wodzie górskiego jeziora. Dech mi zaparło, bo nigdy jeszcze w życiu takiego piękna nigdzie nie oglądałem... Przerwać musiałem podziwianie, bo właśnie kolejowy listonosz przyniósł wiadomości od rodziców.

List przeczytałem. W domu wszyscy zdrowi, ale chyba zbyt pochopnie znowu zakupili kilka prosiaków. Muszę im zaraz odpisać, pomyślałem, żeby nie planowali naiwnie wielkich zysków z trzody chlewnej, żeby nie mieli potem zawodu, bo przecież świnia jest zawsze świnia i potrafi zrobić wielkie świństwo, jak zdechnie.

Tak więc, patrząc w okno pociągu przesuwaną się w nim błyskawicznie różne obrazy, jak w kinie. Skrawek morza z błękitem nieba, udekorowany bukiem słonecznych palm nadbrzeżnych, soczyste gaje winnic, rozrzucone pośród zieleni miasto z szeregami domów, których barwy i odcienie cieszą oczy. A potem nagle białe woły ciągnące po roli pług na tle szeregu drzew palmowych rosnących na miedzy. Oglądając te piękna przyrody, czuje się rękę Wszechmocnego. Niektórzy mówią, że stąd, z Italii, bliżej jest do Boga. I mają rację.

Tak, z zakupem tych prosiaków zdecydowanie trzeba uważać! A może domownikom doradzić kupno cielaków?

NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

MAŁGORZATA BORZESZKOWSKA

RÓWNANIE Z DWOMA KLASZTORAMI

W grabowieckim monasterze
cisza aż boli
jakby Pan wszystkich dźwięków
wbijał mi pod skórę igły bezgłośniejszej obecności

plamy światła ślizgają się po ciepłej kamiennej posadzce
jak wzór kaszubskiego haftu
układają kwiaty i owoce granatu
na jasnych prostokątach wapienia

trzy anioły o bizantyjskich rysach wypisane w białej absydzie
cichy Chrystus o ciemnej twarzy i Madonna po lewej
stalle pachnące kadzidłem i milczeniem
w Grabowcu cisza jak huśtawka unosi mnie wysoko
ku tajemnicy

*

w kartuzjańskim kościele
muzyka aż boli
gdy ponad tańczącą śmiercią organy drukują barok
na oparciach ciemnych stalli
przysiadły rzeźbione anioły i wszyscy święci

muzyka omywa ołtarze
spływa wzdłuż rzeźbionych ram obrazów
nasącza kurdybany
przesyca nadmiarem nut tłoczone arabeski

kilkoro gotyckich świętych jakby nie na miejscu
wynurza się z lipowego drewna ołtarza
jak z powodzi
muzyka w Kartuzach to łódź
która unosi mnie pod prąd
wprost ku tajemnicy

zawieszona między ciszą i muzyką organów
w mroku i świetle
w zapachu kadzidła i starego drewna
płynę od zachwyty do zachwyty
a Pan przygląda mi się z rozbawieniem
i kołysze łodzią
niewiadomej

SIÓDMEGO DNIA BYŁ POETĄ

nie wierzę, że siódmego dnia odpoczywał;
skoro słowo było u początku
i u końca być musiało
słowo
siódmego dnia nie tworzył mórz ni strumieni,
nie wynosił gór, nie rzeźbił grani
dał sobie spokój z żabami i rybami trzonopłetwymi,
machnął ręką nawet na tyranozaura;
niech sobie sam radzi

chmur nie wypiętrzał,
śniegów nie wygładzał,
DNA nie wiązał i nie przestawiał jak puzzle
dla kolibra, okapi czy innego stworzenia

siódmego dnia Bóg był poetą,
rymy i rytmy przelewały się przez błękity i zieleń,
bociany rymowały się z wodnymi oczkami i plamkami słońca
na wodzie,
unosily się w przestrzeni
mewy i metafory, przełęczce i przerzutnie

opadały stromizną u stóp Pana,
mnożyły się przez pączkowanie
apostrofy, aliteracje
i onomatopeje-
cóż, liryka była jego boską,
była jego
wszechmocną stroną

nawet metafory dopełniaczowe zachwycaly
legiony, trony i cherubiny;
taniec gwiazd czy krople życia
nie raziły uszu krytyków,
w końcu któż by się odważył?

i oto siódmego dnia tuż przed południem
Bóg dostrzegł Adama,
w cieniu lipy
nagiego, jak został stworzony
i Bóg mrugnął do siebie
i uczynił, poza wszelkim planem,
dnia siódmego, tuż przed północą,
Bóg tak to uczynił,
że narodziła się
satyra

STRACH PRZED SZAROŚCIĄ

kiedy powoli szarzejesz zaczynam się bać.
gubisz kolory jeden po drugim,
nie ma w tobie już sosnowych igieł zielonych jak wiosna,
ani żółtych słoneczników
przytulonych do pochylego płotu,
maki odfruwają na czerwonych wstążkach
gdzieś za siódmy smutek,
fiolet późnych, letnich godzin
zatopiony w mroku rozplywa się bez pośpiechu

wszystkie kolory podstawowe wypływają
powolną strużką

kawa z mlekiem już nie pachnie,
jakby kolor i woń były sobie przynależne,
czerwone jabłka w sadzie tracą radosną krągłość,
swoją bezzadnością dodajesz im wyostrzonych krawędzi i kątów

kiedy odpływają od ciebie kolory zaczynam się bać.
coraz mi trudniej nas dostrzec w tęczowej kałuży na wiejskiej drodze,
w szybach wystawowych i lustrach.

jeśli nie chcesz, abym się pogubiła, pozbieraj na nowo barwy,
ułoż je w wachlarz, nie, to nie musi być tęcza, jeszcze nie,
po prostu namaluj nas na nowo jak dziecko,
które ze zmarszczonym nosem koloruje obrazek;
cierpliwie, według wzoru
na miłość

GOBELIN Z ŁEMKOWSZCZYZNY

Tkam powietrze
kanwę traw wypełniam osnową
ciepłego podmuchu
między tarniną a zdziczałą czereśnią

Tkam drogę
pod górę skosem, nicią surowej wełny
między głosem ptaka a trzmielimi szumem

Tkam pejzaż
szary od pyłu, pastelowy sierpniowym słońcem
między pękatą kopułą łemkowskiej cerkwi
a pękniętym cieniem krzyży
haftowanych mchem

tkam gobelin Łemkowiny złotej
zielonej, białej, nieobecnej

popłynie rzeką

NAGRODA IM. JÓZEFA MAJKOWSKIEGO
KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA
CIVITAS CHRISTIANA W GDAŃSKU

ELŻBIETA „GRZANKA” OYRZANOWSKA

MOJA ZOSIA

Zasłużyła sobie. Wie pani, ona nie pamięta jak ugotować ziemniaki. Jak upiec chleb. Ciasto. Jak trafić do łazienki. Że trzeba najpierw zdjąć galoty, potem usiąść. Wysikać się. Spuścić wodę. Nic nie pamięta. Muszę wszędzie ją prowadzić. Sama się nie umyje. Nawet nie wie jak odkręcić kurki z wodą. Pomagam jej. Zasłużyła sobie. *Zapada milczenie. Głos grzęźnie w gardle.* Albo rozgląda się po kuchni. Mamy terakotę na podłodze, szafki, kanapę. Stół. Krzesła. Piec kaflowy. Zlewozmywak. O, widzi pani mamy tę boazerię z płyty. Tu będzie prawdziwe drewno za miesiąc. To jest dopiero ładne. Sąsiad przyjdzie i zrobi tak jak ja lubię. Jej to już jest obojętne. My to starzy jesteśmy, ale dlaczego mam mieć coś czego nie lubię. To córka tak zarządziła, ale ja jestem na swoim. Masz osiemdziesiąt trzy lata mów: po co chcesz jeszcze coś zmieniać tato? A ja chcę, bo mnie się to, co jest, nie podoba. To co, że jestem stary i nad grobem stoje. Osiemdziesiąt trzy lata. Wyglądam? *I zawieszają głos.* Chcę się dobrze czuć w naszej kuchni. A może się zachwyci, pyta? Może sobie coś przypomni? Będzie pięknie. Jasno. Drewno tak pachnie. Drewno żyje. Pamięć może jej wróci? Bo my, wie pani, całe życie ciężko pracowaliśmy. Ona zawsze w kuchni była, a teraz nawet nie wie gdzie jest. Mnie i dzieciom gotowała. W piecu paliłem już o czwartej rano w zimie. A jak ona gotowała, pani! Nikt już tak nie gotuje. Teraz wszystko z torebki. Zupy. Sery w folię zawinięte. Makarony. A ona to wszystko sama robiła. Jabłka przerabiała na przecierey. Dżemy. Zupy owocowe gotowała. Zawsze w niedzielę było ciasto.

Jak jablecznik upiekła to pachniało wtedy w całym domu. Nawet chleb piekła. A jak kogotka zabiłem, ona nigdy nie zabijała, to go oskubała. Opaliła. Wyparzyła. I do gara wkładała. A rosół jaki był, pani. Taki prawdziwy z oczkami. Makaron też sama robiła. Ona wszystko sama robiła. Prała. Pralkę Franję, kupiłem. Stać mnie było. Teraz mamy automatyczną, ale już nie pierze. Córka jak przyjeżdża to nastawi. Wywiesi pranie w sadzie, a ja tylko zbieram ze sznura. Ale, pamiętam, jak po wojnie to na tarze, bo to się tak prało, i do kociołka na

kuchni wrzucała. Mieszała kijem, który dla niej specjalnie wystrugałem. Gotowała w mydlinach, a potem płukała w balii. W lecie na dworze, bo było wygodniej. Krochmaliła i wieszala w sadzie pod jabłonkami. O, niech pani patrzy jakie jabłka piękne. Jedno w drugie. To się wszystko teraz zmarnuje. Córka jabłek prawie do domu nie bierze. Nie to co kiedyś. Na targ się zawiozło albo do skupu we wsi. Teraz siły nie mam i się nie opłaca. Grosze dają. A wtedy kupowali i się opłacało. Piękne były, bo tu jabłonie są stare, ale pani to nie pamięta. Szara renetę też mamy. Ta dobra do gotowania, żona mówiła, ale już nic nie gotuje. Zapomniała. Dzieciaki jabłka zbierały. Dwie córki i dwóch synów. Migali się, ale porządek w domu musiał być. Najpierw to nic nie mieliśmy. Tułaliśmy się trochę tu, to tam. Nawet jakiś czas w miasteczku mieszkaliśmy, ale co robić w mieście ma rolnik? Do ziemi nas ciągnęło. Ja chłop z dziada pradziada i ona też chłopka. Aż w końcu ziemię kupiłem. Dom postawiłem ten, w którym teraz siedzimy. No on taki nie był luksusowy. O, piec kaflowy jeszcze jest ale łazienka była za firanką. Do balii się wodę gorącą nalewało na kąpiel. Jak ona mi plecy szorowała. Paznokcie u nóg obcinała. Wychodziłem z wanny jak młody bóg. Jeszcze dziesięć lat temu to była fajna babka. *I tu ten błysk w oku starca*. Oj, pani. Teraz to już nic nie pamięta, ale jak pogłaszczę to się i nawet przytuli. Ale rzadko. Też nie pamięta. Teraz to ja jej plecy szoruję, a ona taka bezbronna stoi w wannie. Ciało to jeszcze ma gładkie jak aksamit. Zawsze takie miała. Aż przyjemnie było dotknąć. Pogłodzić. No, niech pani spojrz jaka cera. Prawie zmarszczek nie ma, a kremów nie używała. Oliwą się nacierała. To wiatr i słońce ją smagał. Niebrzydka była. O, tak jak na tym zdjęciu w dowodzie.

Zofia Badyga, urodzona w 1929 roku. A jak u nas wieje, to sobie na ławeczce pod śliwą siedzimy. O tu, przed domem. Zaraz coś do siedzenia przyniosę. Wraca po chwili. Widzi pani, ten kilim to ona zrobiła. Rozkłada piękny zielono, czerwono, żółty kilim. Pani Zosia patrzy beznamiętnie. Pewnie nie wie, że go utkała. Nic nie pamięta. Mam jeszcze ten jej warsztat w oborze. A może, myślę sobie, do jakiegoś muzeum by przyjęli? Jak tkala to świat mógł dla niej nie istnieć. Nam zawsze dobrze ze sobą było. Ciężko pracowaliśmy. Ona też. Dzieci. Obrządek. Gotowanie. Pranie. No i to tkanie. A jak pięknie koszule mi prasowała podśpiewując. Głos miała taki, że w chórze śpiewała do mszy. Obok organisty stała, a słyhać ją było w całym kościele. A jak w gości szliśmy to zawsze się ładnie ubrać umiała. Ja to się zawsze dziwiłem skąd u niej taki dobry gust. *Artystka, wtrącam*. Oj, gust to miała. Wie pani, lubiła sobie przypiąć do sukienki kwiatka. Jak zapomniała to ja jej zrywałem dziką różę w ogrodzie. Wie pani, na wsi to się kwiatów żonie nie przynosi, bo i po co. Tyle ich w ogrodzie i na łąkach. Teraz nic tu nie rośnie odkąd nic nie pamięta, a już tak jest od trzech lat. Ja nie jestem od hodowania kwiatów, a córka zawsze się śpieszy. Nie znam się na tym. O tu, widzi pani, pod tym płotem, zawsze coś rosło. A w tej

altance, za nami, były jej ukochane pnące róże.

Dzisiaj ją tak ubrałem, bo niedziela. Ładnie prawda? *Potakuję*. Ta sukienka w kwiaty to na ślub córki była szyta. Do kościoła ją potem zakładała w lecie. Teraz to my nigdzie nie chodzimy. Sąsiedzi poumierali, a ci co zostali to daleko mieszkają. Można by na motorze pojechać, ale ona już nie wsiądzie na motor. Nie pamięta, że trzeba trzymać mnie mocno w pasie. Nie to co kiedyś. Lubiła ze mną wszędzie jeździć. A teraz taka niewielka się zrobiła. Drobną zawsze była i mnie się to podobało. Lubiłem takie drobne kobiety i niebieskooka musiała być. A teraz przygarbiła się i maleńka jak nigdy przedtem. A taka robotna i szybka w robocie była. Aż furczało. Rzadko się kłóciliśmy. Ona nigdy nie zaczynała tylko jakaś milcząca się stawała i biegła do warsztatu w stodole. Posiedziała tam z godzinę to i mnie przeszło, bo ja raptownie na wszystko reaguję. Tak było zawsze. Ona tkła, a ja do obory szedłem. Trochę widłami poprzerzuciłem tego łąjna i mówię: Zosiu, a co będzie dzisiaj na obiad? A ona w śmiech. Obiad będzie jak skończę tkać. Na swoim zawsze postawiła.

Szybko żeśmy się pobrali. Wie pani, po wojnie to ludzie do siebie lgnęli. W pokoju zawsze taka czysta pościel wiatrem pachnąca. To my pani zamykaliśmy drzwi do sypialni przed dziećmi. Kiedyś syn, a miał wtedy kilkanaście lat, powiedział: po co tato drzwi zamykasz? Przecież stary już jesteś. Och, fajna babka z niej była. Mówię pani. To już nie jest to samo co za młodości, i spojrział mi głęboko w oczy. Wszystko się kończy. Teraz nic nie pamięta. Siedzimy tu sami. To ja jakieś kluski ugotuję. Omaszczę i sera białego nakruszę. Ser z Iławy jest najlepszy, ale to już nie ten sam co robiony w domu. Taki przez ściereczkę. Pachnący. *Thusty, mówię*. No tak tłusty, ale jaki dobry. Najlepszy ser jaki w życiu jadalem, bo tych krówek to myśmy trochę mieli. Wydoić musieliśmy. Umyć trzeba było. Podściółkę przygotować. Nawóz wywieźć. Harówka od świtu do nocy. To ja i teraz już o czwartej na nogach. Wy z miasta to jeszcze śpicie. A tu wieś. Kury wypuścić trzeba. Jaja zebrać. Córka mi kogutki przywiozła, to je dla niej hoduje, bo ona chociaż w mieście, to ten rosół musi być taki jak w domu. *Piękny kogut mówię*. A tak, ten pójdzie na rosół, bo mnie atakuje. Córka za wsią nie tęskni, bo tu więcej pracy i wieczorami nudno. Sprzedadzą gospodarzkę jak umrę. Zresztą co mi tam, jak mnie już nie będzie, ale szkoda. My tu szczęśliwi byliśmy z żoną. Dzieci z domu poszły to i nasze potrzeby mniejsze się stały. Krowy i świnki się sprzedawało. Konia miałem. No potem to stał się bezużyteczny. Maszyny były. Chrapy końskie są takie delikatne. Bardzo lubiłem je dotykać. **A sarny to pod sosny przychodzą na drodze do naszego domu. Wołam ją, zobacz, ale ona patrzy i nic nie mówi. Nie reaguje też na bociany od sąsiada. Nie tęskni za dziećmi.** Dwie córki i dwóch chłopaków z tych naszych, no wie pani jak się dzieci robi. *I znowu to chytre oko starca*. Jedna córka za górala poszła. W Zakopanem mieszka i rzadko przyjeżdża.

Co najwyżej dwa razy w roku. Moja ukochana córka. Obie kocham, ale z nią się najlepiej rozumiemy. Podobna do mnie. Dzwoni jak tylko coś się niedobrego dzieje. Druga to teraz nas co dwa tygodnie odwiedza. Mieszka trzydzieści kilometrów stąd. Ma dom. Pomogłem im go zbudować jak się pobrali. A od zeszłego roku mamy dwie prawnuczki. Jedna po Zosi ma imię.

Ale czy ona wie, że jest prababcią, tego nie wiem. Chyba nie. Córka zakupy nam robi. Ale ja na motorze po chleb jeżdżę sam. **To ją wtedy zostawiam w domu na godzinę, a jak wracam to talerze na podłodze są rozstawione i mąka w garnkach rozsypana. Pytam, Zosiu dlaczego to zrobiłaś? Nie odpowiada, tylko patrzy na mnie w milczeniu.** Ona ze mną też jeździła do sklepu. Zawsze się jakoś ubrała, bo mówiła, że wstydu nie ma co robić. **A teraz tylko w koszuli nocnej by chodziła. To i mnie też się ubierać nie chce.** No ja mam osiemdziesiąt trzy lata, tak jak żona. To już nie przelewki. Z górki jak to się mówi, ale świat jeszcze mnie interesuje. To sobie popatrzę w telewizor. Radia posłucham. To jakąś gazetę poczytam, tylko nie ma z kim pogadać. Z nią już nie. Prawie się nie odzywa, bo jak nic nie pamięta, to o czym mamy rozmawiać?. Przyglądam się jej codziennie. Ładna jest. Policzki zaokrąglone i takie czerstwe ma. Rumieńce to zawsze miała. Ładnie się zestarzała. A tak harowała. Czasami to mi jej było szkoda, ale świeże, zdrowe powietrze, słońce, wiatr to i uroda została. Tak to już jest na wsi. Synom nie chce się nic robić. Jeden dzieśnięć lat nie był w domu, ale źle trafił. Pili. On i ona. Spotykałem ją pijaną jak przez wieś szła. Taki wstyd. Wszyscy palcami ją wytykali. A on, znaczy się mój syn, przy niej też ciągle pijany. Wszystko przepili, a pomagaliśmy im na początku. *Milknie.* Nie, nie chcę o tym mówić. To hańba dla mnie. Drugi syn to samo. Nic z niego już nie będzie. Stoczył się. Ona ma szczęście, i tu spogląda w jej kierunku, nic nie pamięta. Ale ona chyba przecież coś jeszcze czuje? Serce matki to serce matki. Czasem tak boleśnie na mnie patrzy jakby wszystko rozumiała, a ja mam nadzieję, że przynajmniej ona nie cierpi, bo nie wie. Bo już zapomniała. Czasami w nocy tak się mocno we mnie wczepi. Bez powodu, bo nie ma burzy, której się zawsze bała. Pies nie szczeka więc nikt się w pobliżu nie kręci, a ona taka spięta trzyma mnie za szyję. Raz nawet szlochala. Pytam: Zosiu co ci jest, a ona jeszcze bardziej płacze. Znosi się. Zapaliłem światło, żeby zobaczyła, że nikogo w pokoju nie ma. Popatrzyła. Puściła mnie i podciągać kołdrę zaczęła. Coś się jej przyśniło. To znowu powoli podniosła się i usiadła na łóżku. Nogi spuściła. Wstała i zaczęła chodzić szybko po pokoju od okna do drzwi kuchennych. I tak kilka razy. No to ja otworzyłem drzwi do kuchni i zapaliłem światło. Patrz, mówię, nikogo. Nikogo tu nie ma. Popatrzyła. Postąpiła w drzwiach i szlochając przywarła do mnie. Zacząłem ją głaskać. Delikatnie, bo na gwałtowne ruchy źle reaguje. Zaczyna się histeria więc głaszczę ją po głowie. Plecach. Zawsze to lubiła. Och, pani i znowu patrzy mi głęboko w oczy. Wszystko

się kiedyś kończy, ale ja z Zosią mam dobre wspomnienia. Jaką ona była kobietą. Kobieta mojego życia. Przepraszam, nie powinienem tego mówić, ale nam było dobrze. Widzi pani, ja stary chłop i sam nie wiem dlaczego to pani mówię? Pani jest dzisiaj, a jutro nie będzie po pani śladu. No to ja, jak tak płakała mówię do niej: Zosiu, i cię nie opuszczę na złe i dobre. Zosiu i patrzę na nią trzymając ją w ramionach. Ona ma głowę spuszczoną. Wtula się we mnie. Łka. No to ja: a mnie jeszcze pamiętasz? Zosiu, czy ty mnie jeszcze pamiętasz? **Prawie krzyczę jej do ucha.** Ona podnosi głowę i wyciąga ręce do mojej twarzy. Wodzi po niej i delikatnie poklepuje mnie po policzku. Widzę jak po jej twarzy płyną łzy. Zaczyna mnie obejmować i nagle odwraca się i idzie w kierunku łóżka. Odruchowo gasi światło. Zerkam na zegar w kuchni. Jest druga w nocy. Siadam na kanapie. Jestem tak wzruszony, że nie mogę zmusić się żeby pójść za nią. Ona nic nie pamięta, myślę sobie, ale ona wszystko czuje. To znaczy, że pamięta. Kiedy w końcu wchodzę do sypialni słyszę jak ciężko oddycha. Zasnęła. Wracam do kuchni. Siadam przy stole, który stoi przy oknie. Patrzę w ciemność i nic nie widzę. Tej nocy nie zmrużyłem oka. Dlaczego ona wszystko zapomniała? Jest mi ciężko pogodzić się z myślą, że moja Zosia, delikatna i czuła, na moich oczach zmienia się w roślinę. Lekarze ostrzegają. Przyklepam jej codziennie plasterek, który ma hamować rozwój choroby. Sam już nie wiem co ona myśli? Czy jeszcze myśli? Jak do niej dotrzeć? Jutro nie będzie pamiętała, że się budziła w nocy, że płakała. Że ją głaskałem. Że to ja, jej Janek od sześćdziesięciu lat ten sam. Mówię pani, jak ona tkąła to się bardzo zmieniała. Była, czy ja już to mówiłem, w swoim świecie. Tak jak teraz. Zawsze lubiła mocne kolory. Zielone, czerwienie, żółcie. Jej kwiaty w ogródku były też albo czerwone albo żółte. Dziewczynki nosiły szyte przez nią sukienki w takich samych kolorach. Bardzo o nie dbała. A już w niedzielę, jak szliśmy do kościoła, to musiały być najlepiej ubrane we wsi. A teraz, co się dzieje z moją Zosią? Daję jej do ręki kartofel. Patrzy i nie wie co trzyma. Wącha. Odkłada. Bierze następny. No to ja jej mówię: kartofel. I nic. No to mówię ziemniak. Uśmiecha się, ale ona nie rozumie. Zostawiam jej otwarte drzwi do domu. Myślę sobie, jak wyjdzie sama na podwórze to może sobie coś przypomni. Stoi w drzwiach i patrzy. Nic. Żadnej reakcji. Nie mówiłem pani, my codziennie chodzimy na spacer po ogrodzie, po jej ukochanym sadzie. Nie umie powiedzieć, jabłko. „Nie cieszy się na widok psa. Boi się go, a to był jej ukochany kundel. Przyniosła go, jak był maleńki, od sąsiadów. A teraz ucieka przed nim. A jej kury. Lubiła białe kury. Patrzy jak dziobią, kiedy rzucam im ziarno, a ja widzę w jej oczach tylko strach. Ona wszystkiego się boi, ale żeby kury się bać? A jak córka przyjeżdża to chyba jej nie poznaje. Pyta co to za pani albo milczy cały dzień. To boli, a córka się złości chociaż ciągle powtarza : to ta choroba tato. To ta choroba i patrzy na mnie ze łzami w oczach. **I wie pani ja też przy niej się prędzej starzeję.** Wstaję o czwartej,

ale już o dziewiątej kładę się w sypialni obok niej. Słuchamy radia. To znaczy ja słucham, bo ona przeważnie śpi. W niedzielę kąpię ją rano przed mszą. Ona się nawet się nie żegna, a była kiedyś bardzo religijna. I tak płynie nam dzień za dniem. I ja gotuję ciągle te kluski na mleku, kluski z białym serem, czasem do klusek wkrawam boczek. Ryżu już nie ugotuję. Kartofle to tak grubo obieram, że prawie nic nie zostaje. Nie mam cierpliwości. Jak córka przyjeżdża to zupy nagotuje i usmaży jakieś kotlety. Odgrzewam je i jemy na obiad, ale jej kotlety były lepsze. Soczyste. Chrupiące. Jej jest już wszystko jedno co je. Nie pamięta, że jest głodna. Nic a nic nie pamięta. Od trzech lat nie powiedziała do mnie Janku. To boli. Patrzy na mnie i milczy. Ale zasłużyła sobie i ja ją będę pielegnował. Nie oddam jej nigdzie. Szukam teraz kobiety, żeby nam poprowadziła dom. Dam jej utrzymanie, mieszkanie, ale dla żony musi być dobra. Zna pani jakąś taką chętną, spogląda na mnie z nadzieją. Niech no pani w Warszawie poszuka. Tyle jest opuszczonych, samotnych kobiet. Dorobi sobie. Tu jest cisza i spokój. W zimie ciepło, a i ja będę miał się do kogo odezwać. Posiedzieć albo pojechać do córki na dzień, dwa. *Panie Janku, muszę już iść.* No to jak, zapamięta pani, żeby się dowiedzieć? Ja już nie dam rady tak cały czas się nią opiekować. A taka dobra była. Zasłużyła sobie. Nie wiem jak dalej będzie, bo lekarz, ach pani to wie, nie daje nadziei, że pamięć jej wróci. Patrzy na mnie, że go pocieszę. *Piękne życie stworzyła. Nie każdemu danym jest. Taka kolej rzeczy, a że tak trudno się pogodzić to normalne.* A co tu jest normalne, wtrąca. Oj, żeby nie ta pamięć. Ona nic nie pamięta, a ja pamiętam wszystko. Zasłużyła sobie.

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

BOLESŁAW BORK

DOBRY LUDZIE SĄ WSZĘDZIE

Bolesław Bork
Kaszëbsczë òbrzãdë i swiãta
Szła gòdka ò stòrëch dzejach
òd òpë do tatka.
Kaszëbsczë zwëczy przekôza
swòjim dzecóm matka

Tak to niepisóné dzeje
szlë gòdkã w nowi swiat
z starka na tatka i sëna
tak przetrwalë wiele lat.

Z szopką chòdzył stark, pózni tatk,
syn téz kòlãdowól
w adwentowi czas i w chëczach
òn kòlãdë spiëwól.

Pò nim szopkã téz méstrowól
jego syn, wnuk tatka.
Szopkówé kòlãdowanië
tak przetrwało latka.

W Sylwestra i na Nowi Rok
z kòlãdã gwizdż chòdzył
a pò latach òn ze sobã
przebiërańców wòdzył.

Knôpicë w nowòrocny czas
z brumtopã chòdzëłë
a w swiãteczny dzéń Trzech Króli
z gwioźdzã wanozëłë.

Nasta palmòwò niedzela,
wòzny dlò lëdzy czas.
Probòszcz pòswiãcy dzys palmë,
chtërne ùzëcił las.

Palmë założã za òbròz
jak òbëczòj kòże.
Baża z pòswiãcony wietwë
na cherskò pòmòże.

Kaszëbi tczã Wiòldzi Tidzén;
nówòznieszi je piãtk.
Straż trzimò wartã przë grobie,
bialczy robiã pòrzãdk.

Dlò młodëch bënlów je wòzny
jastrowi drëdзи dzéń
tej mògã dëgòwac dzewùsë
przez całi Bòzi dzéń.

Przodë w trzecym swiãce Jastrów
dëgòwałë dzëwczãta.
Dëgùsë w tim dniu zaniklë,
bò zabrakło swiãta.

Nòskrómnieszé w całim roku
sã Zeloné Swiãtzi,
co pòcwierdzò pòrzekadło:
że ni ma pamiãtzi.

Jednakże nòdzeja òstała
na bógatszé swiãta,
zeloné lëstczy brzozowé
bdã ò tim pamiãtac.

Nadchòdzył dzéń swiãtégò Jana,
a przed nim sobòtka,
nòwieselszi czas na zymkù.
Czeka téż robòtka.

Dzèwczãtka znòszałè chròstè,
straż bùdowa swiécã
na baro wèsoczim dragù,
zèbè dalek swiécã.

Szòltès sobòtkã pòdskòcò,
zacãło sã spiéwanié,
młodi rèszają do tuńca,
czèc je téż strzèlanié.

Jak sobòtka sã skùnczèła,
młodi szlè do lasu
wèszèkac kwiatusk parpacè
cèchò, bez hałasu.

Pò sobòtce przèszlè żniwa,
czas wiòldzi robòtè.
Gbùrzè z kòsã wèszlè w pòle
w czas latny spiekòtè.

Latnò mòrdãga wnet przeszła,
gbùrzè kùnczã żniwa,
ceszã sã na òżniwinè,
bãdze fòtka piwa.

A na Zèlnã niosã kwiatè
do swòjégò ksãdza.
Ksãdz je w kòscòłkù pòswiãcy,
zdżinie lèdzkò nãdza.

Jak bùlwè z pòla zebróné
we wsè je zabawa.
Swiãti Mòrcèn nóm wròzi, że
nadchòdò kùrzawa.

Przepowiednie różne bëłë:
Barbara pò lodze
wróży długa, mrozną zëmã,
a Gòdë pò wòdze.

W całim rokù tczono swiãta
kòscelné, lédowé,
a w lëstopadze i w maju
bëłë nôrodowé.

Òbëczôj i swiãta starków
młodi przejmòwelë.
Tak trwałë przez pòkòlenia
i do dzys przetrwałë.

NAGRODA ODDZIAŁU MIEJSKIEGO ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

JERZY HOPPE

WYPRACOWANIE

Grześ wracał zamyślony i nieco markotny ze szkoły z drugiej zmiany, czyli mocno po południu:

- Co jô móm napisac ò pòczątkù wòjnë? Ni mògã doch tegò pamiãtac! Co ò tim mëmka gòda? Mùszã dokładno jã wëpëtac... (Co mam napisać o początku wojny? Nie mogę przecież tego pamiętać! Co o tym mamusia mówiła? Muszę dokładnie ją wypytać...)

Początek września tego 1948 roku był ciepły, słoneczny jak zwykle. W szkołach od ponad tygodnia trwały normalne zajęcia. Tak w ogóle to Grześ z tego się cieszył. Dziwne? Był dobrym uczniem i chętnie chodził na lekcje, choć czasem bardzo nie chce się rano wstawać, a z Białej Rzeki do szkoły w Redzie trzeba iść szosą dobre pół godziny. Co tam! Jak się ma jedenaście lat, przecież o wiele łatwiej przejść, nawet z tornistrem na plecach, te 2855 dużych kroków – w jedną stronę, policzył je sobie parę razy! – i potem przez kilka godzin posiedzieć w szkolnej ławce, aniżeli pomagać rodzicom w polu czy obejściu. O, czy to w ogóle można porównywać?! Cóż, robota na gospodarstwie jest dla każdego, a najwięcej tej roboty latem. Naprawdę ręce i grzbiet bołą, w gardle zasycha, kiedy w sierpniowym skwarze przez cały dzień ustawia się drapiące snopki żyta w rzędy, szygi. Owszem, są też prace przyjemniejsze. Na przykład przy sianie, na przełomie czerwca i lipca, a drugi raz we wrześniu, tyle że każdorazowo od grabi na rękach robią się bolesne bąble. A później nadchodzą wykopki. Nie-raz przy już jesiennej mżawce nosi się kosze z kartoflami, które wrzucają tam pracujące na kłęczkach kobiety. Trzeba tylko uważać, by kosze nie były pełne, ponad siły chłopaka. Ba, przez okrągły rok trzeba wywozić taczka z chlewów świński i krowi gnój! Trudno, tak już musi być... Jak rodzice mawiają: „Kto nie pracuje, ten nie je”. Albo o leniuchach, że „kradną Panu Bogu czas” i jest to grzech. A pasienie krów? Jeśli nie pada, na pastwisku jest dobra trawa, obok nie ma pola z burakami, brukwią czy kapustą, jest to zajęcie całkiem, całkiem.

Nawet można poczytać. Bo na stadko z uwagą patrzy mały Tusy i szczekaniem sygnalizuje, gdy któraś z krów za bardzo zbliża się do cudzej miedzy. Tak, tak, pracować muszą wszyscy, dorośli i dzieci, także mądry piesek! A szkoła? O, ona też jest ważna, nawet bardzo! Tata z mamą sami są obowiązkowi i dla nich jest oczywiste, że dzieci muszą chodzić do szkoły i mieć też czas na odrabianie zadań domowych. Jednak dopiero wieczorami.

Teraz Grzesz złożył tornister w kącie izby, potem w kuchni nalał sobie wody do miednicy i starannie umył ręce. W całym mieszkaniu panowała cisza. Inni z rodziny już byli dawno po obiedzie i widocznie poszli, poza mamą, zając się sianem z drugiego pokosu. Usiadł przy stole i czekał na matkę, która wyszła do chlewa nakarmić świnię. Aż tu dochodził ich donośny kwik, który świadczył, że właśnie się rozpychają przy korycie. Grzesz wiedział, że człowiek na jedzenie poczeka, a inwentarz nie. Głodne krowy ryczą, świnię kwiczą, owce beczą, nawet konie wałają kopytami o klepisko... Jeszcze ciepła zupa pomidorowa była w garnku na blacie i Grzesz mógł sobie sam jej nalać do stojącego talerza. Cekał, bo przecież miał do mamy pilną, szkolną sprawę. I ledwo matka weszła do domu i myła ręce, synek już był przy niej:

- Mëmô, nowô szkólnô ôd pòlsczégò kôza nama napisac wëpracowanié ô 1939 rokù. Na pòwitrze! Jô doch tegò nie pamiätóm, bò tej jô miôł dwa lata. Jak to ù nas bëło, czej Niemcë przëszlë? Le gadi pò pòlskù, bãdże mie lži pisac... (Mamo, nowa nauczycielka od polskiego kazała nam napisać wypracowanie o 1939 roku. Na pojutrze! Ja przecież tego nie pamiętam, bo wtedy miałem dwa lata. Jak to u nas było, kiedy Niemcy przyszli? Ale mów po polsku, będzie mi łatwiej pisać...)

- Në dobrze, môsz tu talerz zupë i pòmału jédz, a pòtemù dostóniesz nudli ze smiôtanã. Jô so zrobiã kawë i zarò bãdã òpòwiôda... (No dobrze, masz tu talerz zupy i powoli jedz, a potem dostaniesz makaronu ze śmietaną. Zrobię sobie kawy i zaraz będę opowiadać...)

Grzesz z apetytem jadł zupę z makaronem swojskiej roboty, potem makaron ze śmietaną i cukrem, a za chwilę mama z kubkiem kawy z mlekiem przysiadła z drugiej strony stołu.

- Od czego bë tu zacząć? Tej może tak: (Od czego by tu zacząć? Więc może tak)

O wojnie z Niemcami mówilo się od wiosny 1939 roku. Oni chcieli, nie, źle mówię, żądali Gdańska i swobodnego przejazdu do Ostpreussów, Prus Wschodnich. Wiesz, jak wyglądała Polska przed wojną? Tak? Mapę znasz... No, więc tamci w Berlinie postawili żądania i zaraz też krzyczeli, jaka straszna krzywda dzieje się Niemcom w Polsce. Mielismy dobre radio i słyszeliśmy. Po niemiecku wrzeszczał sam Hitler. Ich radiostacja codziennie nadawało też po polsku audycję pt. „Czy to nie dziwne?”. Ale to wcale nie były zwykłe ciekawostki ze świata, tylko że niby sąsiad Polak podpalił niemiecki młyn albo stodołę, że gdzieś

Niemkę zgwałcono i takie tam... Znowu nasi gadali, że to same bzdury, jakaś „heccpropaganda”, ale że żadnej wojny nie będzie, bo się Niemcy boją. Za nami stoją Francja i Anglia, a jeśli Hitler zacznie, za tydzień nasze wojsko będzie w Berlinie. Wisiały plakaty: „Silni! Zwarcil! Gotowi!”. Ale akurat we żniwa musiał do wojska się zgłosić nasz parobek, Józef. Wojsko zabrało nam też młodego konia. W radiu radzili robić z materiału przeciwgazowe maski, szyby okleić plastrami i wzmocnić piwnice. Albo wykopać obok domu rów i przykryć belkami i ziemią. Wiesz, że nasza piwnica jest spora, nie było tam już starych kartofli i tata ją ładnie wyczyścił, a nawet porobił ławki z desek ułożonych na ceglach. Ja położyłam kilka świec i zapalki, wstawiłam parę weków z kompotem i taką dużą bańkę z czystą wodą. Do wnęki wstawiłam nocniczek i wiadro z dekle. Potem wszystko miało się bardzo przydać...

1 września to był piątek. Mundek i Renka, tak samo jak żadne dziecko ze sąsiedztwa, nie poszli do szkoły, bo z samego rana było słycać silne wybuchy. Bombardowano lotnisko w Rumii, ale bomby trafiały też w domy obok lotniska. Widzieliśmy kłęby dymu. Domyślasz się, w jakim byliśmy strachu, bo przecież przed bombą piwnica nie uchroni. W radiu powtarzano komunikat, że Niemcy bez wypowiedzenia wojny napadli na Polskę. Tata wsadził nas - czyli was, dzieci, i mnie - na wóz i pogналиśmy do wujostwa w Górnym Rekowiu. Byle dalej od tego lotniska, szosy i torów kolejowych! Nas zostawił, a sam tym wozem wrócił do domu, żeby dopilnować gospodarstwa. Ale już w sobotę po południu przyjechał po nas znów, bo na razie w Białej Rzece i okolicy panował spokój, Niemcy nie bombardowali. Jednak lekcje w szkole zostały przez kierownika czasowo odwołane.

W radiu słyszeliśmy o Westerplatte i innych walkach w Polsce, co jakiś czas wzywano mężczyzn, by zgłaszać się do punktów werbunkowych. Wiesz, Grzesiu, to tam, gdzie ich spisywano i miano dawać broń. Najbliżej w Gdyni. Cieszyliśmy się, kiedy podano komunikat, że Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę. U nas zebrało się kilku sąsiadów, żeby się naradzić. I czwarte-go dnia wojny, zaraz po niedzieli, trzech mieszkańcy z naszego końca Białej Rzeki, w tym twój tata, wsiedli na rowery i pojechali do Gdyni do takiego punktu, o którym mówiłam. Pojechali, a ja zostałam z wami, piątką dzieci, i całym gospodarstwem na głowie. Miałam wtedy do pomocy przy gospodarce i was, dzieciach, jeszcze dochodzące dziewczyny, Ankę i Jadżkę, do krów chłopaka, Bena, a do koni przychodził stary Pionk, tak że jakoś sobie radziłam. Dni nadal tutaj, w Białej Rzece, upływały dość spokojnie, ale tamci trzej z Gdyni nie wracali...

Niebezpiecznie zrobiło się znów dopiero 9 września, dobrze to pamiętam, bo to akurat była sobota i jak zwykle piekłam chleb na cały tydzień. Jak wiesz, zawsze tak robię... Rano Pionk napalił w chlebowym piecu i poszedł do swojego domu, a ja po wydojeniu krów wyrobiłam ciasto i włożyłam bochenki do tego

pieca. Ale od strony Redy już było słyhać karabinowe strzały i też jakieś inne, głośniejsze. A wtem nad domami zaczęły zza lasu przelatywać armatnie pociski z takim gwizdem fiuu, fiuu... Niby w stronę lotniska, ale spadały też bliżej i wybuchały na łąkach. Ja szybko was, znaczy dzieci, posłałam z tymi dziewczynami i Benem do piwnicy, a jeszcze spod lasu przybiegła rodzina Dampców. Nie mieli u siebie żadnej piwnicy. No, i w pośpiechu przyszło jeszcze parę sąsiadek. Sama zostałam przy piecu, żeby dopilnować chleba... Bo wojna wojną, a jeść trzeba. Karabinowe strzały ciągle były gdzieś dalej, wybuchy chwilowo ucichły i słyszałam pociąg pędzący w stronę Redy. Potem się dowiedziałam, że to był „Smok Kaszubski”, opancerzony pociąg, uzbrojony w działka i karabiny. Walczył wzdłuż torów z piechotą i niemieckimi samochodami pancernymi, a dodatkowo zabierał do Gdyni rannych od Wejherowa i Redy...

O czym to ja mówiłam? Aha, o piekącym się chlebie... No, więc już miałam się zabrać do jego wyciągania z pieca, kiedy na podwórko wbiegła spora grupa naszych. Byli tam żołnierze, ale też ochotnicy harcerze w swoich mundurach. Mieli karabiny i ciągle patrzyli w stronę lasu, jednak błagali o coś do picia i jedzenia. Widać było, jak są wymęczeni, zabiedzeni... Był między nimi podoficer i słuchali jego rozkazów. Jemu powiedziałam, żeby wyciągnęli z pieca chleby, ale ostrożnie, bo są bardzo gorące i muszą ostygnąć. Teraz mogą zaszkodzić na pusty żołądek... A ja zaprowadziłam paru z nich do przedsionka, żeby wynieśli stojące tam bańki z mlekiem. Z kuchni zabrałam wszystkie kubki, filiżanki, noże, co tam miałam kielbasy, masła i smalcu ze skwarkami. Myślisz, że czekali, aż chleb ostygnie? Najpierw rzucili się na kielbasę, potem, dmuchając na palce, kroili gorący chleb, wtykali kromki w masło albo smalec i jedli. Żeby nie sparzyć języka, popijali chłodnym mlekiem. Czy im zaszkodziło? Tego ci nie powiem, bo długo u nas nie byli. Podoficer mówił, że „Smok Kaszubski” – to od niego się dowiedziałam, że tak ten pociąg się nazywa – powstrzymał Niemców w Redzie, ale Niemcy idą też lasem od strony Reszek i Zbychowa. To stamtąd z daleka strzela też ich artyleria. On ma rozkaz wycofać się najpierw pod lotnisko, a potem do Kazimierza i na Kępę Oksywską. Znow słyhać było pociąg, który teraz wracał w stronę Zagórza i Gdyni. I ciągle strzelał, czyli że Niemcy byli już gdzieś blisko... Podoficer krzyknął na swoich, mnie szybko podziękował, i biegiem, kryjąc się za domami, ruszyli w stronę kościoła w Rumi. Czy został jakiś chleb? Tak, jeden bochenek mi zostawili na niedzielę...

Po południu znow niemiecka artyleria strzelała, a wybuchy były nawet bliżej. Cały dom się trząsł, niektóre szyby się rozsypały, a myśmy wszyscy siedzieli wtedy w piwnicy. Przy świeczkach odmawialiśmy razem różaniec i uspokajaliśmy płaczące maluchy. Tak, tak, także ciebie i Kazika, który wtedy miał niecały roczek. Po jakimś czasie już nie było słyhać tych wybuchów, tylko z rzadka dochodziły strzały karabinowe, a po chwili ktoś otworzył drzwi

i zszedł po schodkach. To był niemiecki żołnierz w hełmie, z karabinem. Nic nie mówił, tylko się rozejrzał i wyszedł. Siedzieliśmy w strachu dalej i może tak z pół godziny później znów ktoś otworzył drzwi i po niemiecku kazał wszystkim wyjść.

Na podwórzu stał wojskowy samochód, przy nim oficer, który skinął, że mamy podejść. Zapytał, kto jest właścicielem gospodarstwa. Oczywiście po niemiecku, ale przecież wiesz, że my wszyscy dorośli też byliśmy po niemieckiej szkole. Zgłosiłam się, a on najpierw zapytał, skąd tu tyle ludzi. Powiedziałam, że to z sąsiedztwa, no i także moje dzieci. A gdzie mąż? Ja na to, że nie wiem, bo już od tygodnia go nie ma. Potem on mówi, że tu jeszcze będą niebezpieczne walki i radzi, żeby cywile opuścili ten rejon. Powinni jeszcze dzisiaj iść albo jechać, jeśli ktoś ma furmankę, w stronę Redy i Wejherowa (powiedział: Neustadt) i tam przeczekać... Trzeba zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, bo to długo nie potrwa. To mówił do wszystkich, też do Dampca i tych sąsiadek. Jeszcze pytałam, czy mogę o pomoc poprosić starego sąsiada. Kiwnął głową, zsalutował i razem ze swoim adiutantem, tym, co nas z piwnicy wywołał, wsiadł do samochodu i za chwilę wyjechali na szosę. Posłałam Bena po Pionka, który też wnet przybiegł. A Bena odesłałam do rodziców. Na wyjazd razem z nami zdecydował się Dampc. Jego żona z najstarszą córką pobiegły po jakieś swoje rzeczy. Dampc z Pionkiem zabrali się do przygotowania drabiniastego wozu, wyłożyli go słomą, wrzucili siana i worek owsa, potem zaprzęgali konie. Ja z Jadźką szybko spakowałam trochę pościeli, ubrań, jedzenia... Ale co z inwentarzem? Przecież nie można wszystkiego tak zostawić! Pionk powiedział, że on, stary, nigdzie się stąd nie ruszy i może się zająć karmieniem zwierząt i drobiu. A krowy może doić jego siostra, Maria, bo też nie chce zostawić swojego domu... Czy to było mądre? Bo od strony Rumi i Zagórza ciągle było słyhać strzelanie, ku niebu wznosiły się kłęby dymu... No tak, ale ciężko jest zostawiać dorobek życia i pewnie gdybym nie miała was, też bym się z domu nie ruszyła. Tak więc wozem pełnym ludzi, przede wszystkim dzieci, pod wieczór wyjechaliśmy. I nie my jedni, bo na szosie był spory ruch. Jedną stroną w kierunku Redy szli ludzie z wózkami, taczkami, walizkami, no i jechały furmanki jak nasza, drugą stroną w kierunku Zagórza jechały od czasu do czasu niemieckie samochody i motocykle z żołnierzami. Tak wyglądał początek września 1939 roku w części Białej Rzeki, tej najbliższej Redy...

Ale się rozgadałam! No wiesz, jeszcze teraz mam to wszystko w oczach... Masz jakieś pytania? Co? Że to za długie? Hmm, to napiszesz tylko tak ogólnie o strzelaniu, o „Smoku Kaszubskim”, siedzeniu w piwnicy, pierwszym żołnierzu niemieckim, ucieczce mieszkańców w stronę Redy, ale o nakarmieniu polskich żołnierzy też napisz, bo to dla pani nauczycielki może być ciekawe... Najlepiej siadaj od razu do pisania, żebyś nie zapomniał. Powiem tacie, że dziś niech

ci da spokój z inną robotą...

Grześ, ucieszony, że nie musi iść do chlewów, poszedł do swojego kącika i zabrał się do pisania. Był najlepszym uczniem w klasie i chciał, żeby nowa pani od polskiego go pochwaliła. Cóż, sam pamiętał z dawnych lat dopiero ten zimny, jesienny dzień, kiedy całą rodziną też jechali wozem do obcego domu. Też nieco za Redę, do Pelzau, czyli Pieleszewa... Ale o tym nie musi pisać, bo to było – jak już wie od starszych sióstr – ponad rok później, w listopadzie 1940 roku. Skupił się na opowieści mamy i spisał ją najpierw na brudno. Potem w zeszyt na czysto wyszły mu aż cztery strony. Nieźle, jak na ucznia piątej klasy! A teraz jeszcze zostały mu zadania z rachunków i mieli coś przeczytać na historię...

W następne dni lekcje dla klasy V zaczynały się od 8.00, więc Grześ już na obiad był w domu i wkrótce mógł przy stole wszystkim się pochwalić, że z polskiego dostał jedynkę, czyli „bardzo dobry”. Pani powiedziała, że to wypracowanie jest ciekawe. Zabrała nawet jego zeszyt, żeby pokazać panu kierownikowi... No, no, a innym też zabrała zeszyty? Nie? Bo napisali tylko po stronie, a Kryśka, także dobra uczennica, dwie. Teraz siostry, Renka z Elką, trąciły się łokciami: „Oj, Grzesiu, chyba będziesz pisarzem... Może takim jak twój ulubiony Sienkiewicz?”. Trochę to było żartem, trochę poważnie. O, bo Grześ uwielbiał czytać! W ogromnej skrzyni na strychu znalazł „Ogniem i mieczem” i kilka roczników przedwojennego „Przewodnika Katolickiego” z powieściami w odciśnięciach. Zapominał o świecie, kiedy zanurzał się w dramatyczne dzieje Skrzetuskiego i jego przyjaciół albo w rycerskie przygody bohatera opowieści pt. „Co starość zdobyła na wojnie?”. A powieści Sienkiewicza w wolnym czasie chętnie czytał również tata. Mama nie lubiła opisów bitew, wołała Rodziewiczównę i Mniszkównę. Jako dziecko marzyła o tym, by zostać nauczycielką, jednak to okazało się absolutnie niemożliwe. Trzeba było ciężko pracować na gospodarstwie, pomagać ojcu, bo najpierw zmarła matka, potem macocha ciągle chorowała po urodzeniu dziecka. Więc teraz mama Grzesia chciała, by przynajmniej jej dzieci mogły się kształcić i cieszyła się z ich każdego dobrego stopnia.

Tego dnia nie było jednak wymówki od roboty. Po obiedzie wszyscy poza mamą musieli iść grabić siano. Odrabianie zadań domowych musiało poczekać do wieczora, normalnie... A rano znów do szkoły. Kiedy Grześ wrócił po lekcjach do domu, miał dziwną minę. Było widać, że czuje się dumny, ale też, że ma znów kłopot.

- Cęż je, synku? (Co jest, synku?) – mama lekko pogłaskała go po głowie.

- Czerownik szkółë, pón Chodzeń, chce, żebě jô napisól dalszi cąg. Robi jakąs kronikã i zbiérõ materiałë... To nie mùszi bëc na witro, le do kuńca miesãca, i dostõnã „baro dobrì” na półrocze. Tej bãdziesz mie mùsza dali òpòwiedzec. (Kierownik szkoły, pan Chodzeń, chce, żebyim napisał ciąg dalszy. Robi jakąs kronikę i zbiera materiały... To nie musi być na jutro, ale do końca miesiąca,

i dostanę „bardzo dobry” na półrocze. Więc będziesz mi musiała opowiadać dalej.)

- Kò jak trzeba, synkù, tej trzeba. Nalézemë doch na to téz czas... (Còż, jak trzeba, synku, to trzeba. Znajdziemy przecież na to także czas...)

I w ten sposób w ciągu kolejnych dni Grześ poznał dokładniej wojenną historię rodziny aż do momentu, kiedy zaczął już sam ją w dziecięcej pamięci rejestrować. Odkąd kończył trzy latka, nie były to już jedynie luźne urywki zdarzeń, ale układały się one w dość dokładną ciągłość. Tak, kilkuletni pobyt w mieszkaniu na poddaszu starego dworku w Pieleszewie pamiętał bardzo dobrze. Chociaż oczywiście nie wszystko wiedział i nie wszystko rozumiał. Teraz opowieść matki wypełniła częściowo to, co się działo z rodziną od września 1939 do listopada 1940 roku.

Ta pierwsza opowieść kończyła się wyjazdem drabiniastym wozem w stronę Redy, by uciec z terenów objętych walkami w dniach 9-12 września. W Redzie nie znaleźli gościny, bo była przepelniona uciekinierami, a miejscowi Niemcy – mieszkali ich tam sporo – nie byli skłonni pomagać obcym ludziom. Nawet wywiesili flagi ze swastyką. Tylko Dampc mógł zostawić tam u kuzynki swoją rodzinę. Dla wszystkich ta kuzynka nie miała miejsca, ale przekazała Dampcowi adres dobrej znajomej zaraz za Redą, w Pieleszewie. Oczywiście Dampc, już spokojny o swoich, wrócił do furmanki i tak dojechali do życzliwych Kaszubów, którzy odstąpili jedną izbę matce z piątką dzieci i dwiema dziewczkami. Tu Dampc chwilę posiedział, potem szedł do Redy. Obiecał, że będzie zaglądał... A tamci ludzie byli dość biedni, poza domkiem mieli tylko szalerek, tak że konie trzeba było zostawić pod gołym niebem. Dobrze, że mama Grzesia zadbała o jedzenie dla rodziny, a wzięli ze sobą też paszę dla koni. Poza ruchem na szosie nie czuło się tu wojny, bo za Redą pradolina zakręca na zachód, lesiste wzgórza zaś zasłaniały widok i tłumiły odgłosy walk w okolicach Rumi i Gdyni.

Kłopot zrobił się w niedzielę wieczorem, bo dzieci były przyzwyczajone do zacierki na kolację. Cóż za ironia losu! Oni, wieloletni dostawcy mleka do mleczarni, a także dla sąsiadów i mieszkańców nowej Gdyni, tutaj nie mieli tego mleka dla siebie. Pewnie tam, w Białej Rzece, też martwiono się, co zrobić z udojem od tylu krów... A tu najbardziej kaprysił malutki Kazik. Nie było rady, matka z Jadźką pożyczyły bańkę i poszły do niezbyt odległego gospodarstwa. Drzwi otworzyła im starsza kobieta, chyba żona gospodarza. Na kaszubskie pozdrowienie „Niech bǎdże pòchwòlony Jezës Christus!” odpowiedziała po niemiecku. I też po niemiecku zaraz zaczęła wydziwiał, że w czasie wojny kobiety się szwendają po obcych domach. Co? Mleko? Ona nie ma mleka na zbyciu... I zamknęła im drzwi przed nosem.

Cóż za parszywa Niemra! Pewnie się nasłuchiwała w radiu o niemieckich krzywdach... Ale kawałek drogi dalej było jeszcze jedno gospodarstwo, może

tam ludzie są lepsi. Tak! Bez wielkich próśb gospodyni nałała im bańkę do pełna, nie chciała żadnych pieniędzy i nawet powiedziała, że mogą co dzień dostać mleka. Jak widać, są ludzie i ludziska...

W poniedziałek matka jednak nie wytrzymała. Cały czas niepokoiła się o gburstwo, dom i chowę. Jaka jest sytuacja w Białej Rzece? Od Dampca, który przyszedł przed południem, dowiedziała się, że w Redzie niedziela upłynęła w miarę spokojnie. Tylko z samego rana przy dworcu wybuchła strzelanina. Podobno „Smok Kaszubski” się przebił i jeszcze zabrał jakichś rannych polskich żołnierzy. Dampc przyniósł chleb z piekarni i dalej mówił, że już potem wczoraj, to znaczy w niedzielę, od strony Zagórza i Gdyni było jakby mniej głośno. Czyżby Niemcy w czasie wojny też odpoczywali w niedzielę? A może tylko dlatego, że już tego 10 września po południu podchodzili pod Kazimierz, na skraj Kępy Oksywskiej? Dampc mówił, że owszem, stamtąd słychać było wiele strzałów. No, ale to parę kilometrów od Redy i Białej Rzeki. Jak by tu się dokładniej wywiedzieć, czy można wracać... Mają właściciele domku damski rower? Tak? I chętnie pożyczą? No, to wspaniale!

Wczesnym popołudniem matka Grzesia zabrała ze sobą swój dowód osobisty, ową bańkę od mleka i wsiadła na rower. Gruntową drogą tuż pod lasem, wzdłuż toru Wejherowo - Gdynia, skierowała się w stronę Redy. Na razie było spokojnie, ale kiedy na wysokości redzkiego kościoła las się odsunął i teraz miała przed sobą dworzec, cegielnię, zabudowania Redy, dalej widok na Rumię-Zagórze i hen, aż na Gdynię, jakby uniosła się kurtyna i znów ogarnęła ją groza wojny. Horyzont zasnuwał dym, stamtąd i od strony Kazimierza dochodziły strzały karabinowe i nieco przytłumiony huk armat. Zatrzymała się i spozjrzała na szosę, widoczną w przerwach między domkami Redy. Pod przydrożnymi lipami cały czas trwał ruch, przede wszystkim pojazdów wojskowych. Trochę cywilów jeszcze podążało od strony Białej Rzeki. Co robić? Zawrócić czy jechać dalej?

Ech, wszystko w rękach Boga! Przeżegnała się i ruszyła dalej, ciągle tą drogą pod lasem... Na wysokości pierwszych domów Białej Rzeki ujrzała przed sobą trzech niemieckich żołnierzy. Dwóch z nich skierowało w jej stronę karabiny, trzeci, podoficer, zaczął do niej podchodzić:

- Halt! (Stój!)

I ostrym tonem zaczął pytać, co ona tu robi i dlaczego się pcha w stronę strzelaniny. Jakże się przydała znajomość języka niemieckiego! Pokazała z daleka widoczne stąd zabudowania gburstwa i wyjaśniła, że po dwóch dobach nieobecności musi przecież sprawdzić, co się dzieje z żywym inwentarzem. Mówiła spokojnie i widać go przekonała. Pochwalił za płynną niemczyznę, ale stwierdził, że on ma rozkaz nikogo tędy nie przepuszczać. Jeden z żołnierzy zaprowadził ją do oficera i tam musi prosić o zgodę. Wskazał na domostwo jakieś 150

metrów przy szosie, gdzie ten oficer ma swój punkt kontrolny.

W tym miejscu opowieści mama powiedziała Grzesiowi, że pewnie o tym nie będzie mógł napisać. Teraz wszyscy wiedzą, że niemieccy piloci rzucali bomby na spokojne miasta, że strzelali do uciekinierów. Wehrmacht popełniał w Polsce, a potem w Rosji, zbrodnie na jeńcach i cywilach. Możliwe, że jakiś swój udział w rozstrzeliwaniach w Piaśnicy mieli zwykli żołnierze... A ona zgodnie z prawdą i swoim sumieniem musi tu wspomnieć o raczej porządnym i całkiem normalnym ludziach w niemieckim mundurze.

Bo młody żołnierz, który ją prowadził do oficera, okazał się grzeczny i rozmowny, pomógł przenieść rower przez torowisko i mówił, że pochodzi z Rheinlandu, Nadrenii, gdzie akurat dojrzewają winogrona. Może teraz dojdą „nach Danzig und Marienburg”, do Gdańska i Malborka, i wojna się skończy? On byłby potrzebny rodzicom przy zbiorze tych winogron...

Oficer, już w starszym wieku, zaczął od zerknięcia w dowód osobisty. Widząc nazwisko o niemieckim brzmieniu, nie robił trudności. Od ręki wystawił przepustkę na dwie godziny, ale także kiwnął na jednego z obecnych tam szeregowców, żeby jej towarzyszył. Jak mówił, na wszelki wypadek, bo choć walki przesunęły się bliżej Zagórza, to tu jest strefa przyfrontowa i może być niebezpiecznie.

Żołnierz, tym razem chłopak ze wsi w Saksonii, też okazał się uczynny. Przyniósł ze studni kilka wiader wody dla krów i zrzucił im ze szopy świeżego siana. Za chwilę przyszedł stary Pionk, po nim jego siostra. Zapewniali, że nic złego się tu nie dzieje, oni pilnują wszystkiego jakby to było ich. Niektórzy mieszkańcy tej części Białej Rzeki wcale nie opuścili swoich domów, tak jak i oni, część uciekinierów zdążyła wrócić. Z tamtych trzech, co pojechali do Gdyni, jeden wrócił. Bez roweru, z duszą na ramieniu, szedł lasem okrężnymi ścieżkami. Mówił, że w Gdyni nie starczyło dla nich karabinów. Pewnie ci pozostali dwaj wrócą, kiedy front się przesunie. Dalej Pionk mówił, że każdemu, kto jest zameldowany tutaj, niemiecki oficer wystawia odpowiedni dokument. I co ona ma zrobić? Radzi wracać... Jednak jest też godzina policyjna, dlatego lepiej zrobić to rano. A mleka do bańki zaraz Maria należy...

W drodze powrotnej wzięła od oficera niemieckie zaświadczenie, że jest mieszkanką Białej Rzeki (napisał Weisfluß) i dodatkowo przepustkę na następny dzień. Na szosie prawie nie było ruchu, więc skorzystała z asfaltu i kwadrans później była w Redzie u kuzynki Dampca, by się z nimi umówić na jutro. Jeśli to możliwe, on z rodziną też chce wracać. Jadąc z pełną bańką ostrożnie, po kolejnym kwadransie jazdy była w Pieleszewie. Ku wielkiej radości nie tylko dzieci, ale też uprzejmych właścicieli domku. Znów więc na kolację mogła być zacierka i chleb z zeszlórocznymi powidłami.

Rankiem we wtorek 12 września obie rodziny znów razem wracały wozem

do siebie, do Białej Rzeki. A właściwie już do Weisfluß, bo po drodze spotykały tylko niemieckie wojsko. Na górze pod wsią ustawił się samochód pancerny i z działka strzelał w kierunku Kazimierza. Konie bardzo się płoszyły, dzieci zatykały uszy. W znanym już matce miejscu u wlotu wsi furmanka została starannie przejrzana. Przepuszczono ich, ale kontrolujący podoficer nakazał, by nikt poza swoje obejście na razie nie wychodził. Bo - jak powiedział - toczą się nadal ostre walki o „Rahmel”. Faktycznie, nad Rumią i Kazimierzem, ale także nad Zagórzem, unosiły się gęste kłęby dymu i dochodziły stamtąd odgłosy wybuchów i strzelaniny. Może więc za szybko tu wrócili? Trudno, jednak znów wracać do Redy i Pieszewa też wydawało się bez sensu...

Było co robić po tych paru dniach nieobecności, choć Pionk i jego siostra starali się jak mogli. Bydło ryczało, świny kwiczały, trzeba było myśleć o obiedzie. Pomóc walczącemu parę kilometrów dalej wojsku polskiemu nikt tu nie mógł. Tak samo cywilom, którzy pozostali w rejonie objętym walkami. Można się było za nich tylko modlić, bo po południu zrobiło się tam jeszcze straszniej! Nadleciały samoloty i rzuciły bomby nie tylko na lotnisko, ale też na Zagórze i Janowo. Nowe chmury dymu uniosły się nad zabudowaną równiną od Kępy Oksywskiej po Górę Markowcową i pasmo wzgórz wzdłuż torów. Odgłosy zaciętych walk dochodziły stamtąd do wieczora... Dopiero potem ludzie tu się dowiedzieli, że po stronie polskiej walczyli nawet kosynierzy jak w czasach Kościuszki, że bomby uszkodziły „Smoka Kaszubskiego”, że wziętych do niewoli harcerzy i kosynierów od razu zastrzelono...

A tanta noc też nie przyniosła ciszy, bo od czasu do czasu rozlegały się karabinowe strzały od strony Kępy, ledwie zaś nastał świt, odezwały się armaty. Pokazały się również samoloty. Dymy nad Rumią, Zagórzem i dalszą Gdynią mocno przybłąkły, widać, że w tym rejonie pożary dogasały, natomiast ciemna chmura unosiła się nad lasem, otaczającym Dębogórze. I dalej nad Suchym Dworem i Obłuzem. Stamtąd też dochodziły odgłosy walk, przytłumione odległością i gęstym borem. Nawet dla cywila było jasne, że dzielni obrońcy Rumi i Gdyni wycofali się na Kępę, gdzie - jak się miało okazać - ciężkie walki toczyły do 19 września, a tutaj wszędzie byli już Niemcy.

Grześ razem z mamą długo zastanawiali się, co z tych dramatycznych wydarzeń zamieścić w relacji dla pana kierownika. Poza tym Grzesia intrygowało, dlaczego w tej części opowieści nic nie było o tacie. Pojechał z kolegami do punktu werbunkowego w Gdyni i co? W końcu brali udział w walkach? Okazało się, że ten z nich, który wcześniej wrócił, mówił prawdę. Nie było karabinów dla ochotników, kazano im czekać, a potem już nawet ów punkt zmieniono na punkt medyczny, bo broni nadal nie dostarczono, za to było mnóstwo rannych. Tata nocował u wujostwa w internacie Szkole Morskiej na Grabówku i razem z innymi pomagał nosić rannych. Kiedy 12 września Gdynię, tak jak i Rumię,

ostatecznie zajęli Niemcy, takich mężczyzn jak on zamknięto w kościele. Przechowali ich kilka dni i sprawdzano dane osobowe. Taty nie było na ich czarnej liście, toteż wystawili przepustkę i go puścili. Mógł więc wrócić swoim rowem. Oczywiście musiał się tu gesto mamie tłumaczyć... Ale dla pana kierownika to chyba by nie była ważna wiadomość.

Grzesia też bardzo ciekawiło, dlaczego całą rodzinę po roku wyrzucono z Białej Rzeki. Dowiedział się, że tę decyzję władz okupacyjnych poprzedziło inne zarządzenie. Już wiosną 1940 roku kazano jedną izbę razem z meblami oddać niejakiemu Rühlmannowi. Tak, o tym Grzesz może śmiało panu kierownikowi napisać, bo to będzie o złym Niemcu! Ten Rühlmann był to arogancki 19-letni braciszek niemieckiego wójta Luzina. Obaj byli Niemcami, tylko nie z Reichu, ale z Częstkowa. Ich rodzice mieli tam gospodarstwo i ci dwaj teraz raptem poczuli się wielkimi panami. Taki prawie smarkacz miał pilnować rodziców Grzesia, że gospodarują dobrze, „uczciwie”, że nie kombinują z kontyngentami, które wprowadzać zaczęto już pod koniec 1939 roku. Kontyngenty były to obowiązkowe odstawy zbóż, mięsa, mleka, a potem też jajek. Jako nadzorca musiał mieć darmowy wikt i opierunek. Sam nic nie robił, jeździł motocyklem, przywoził sobie gości, chodził do gospody na piwo, i tam się przechwalał, jakie to żądania stawia gospodyni w sprawie posiłków. Wyniuchał, że choć władze kazały, tata nie oddał naszego radia, wziął je sobie, puszczał głośno niemiecką muzykę i robił z koleżkami potańcówki nawet w czasie zniw.

A jesienią 1940 roku młodzik miał już zostać „treuhänderem”, czyli administratorem, gburstwa, które formalnie przejęło niemieckie państwo. Dlaczego? Wcale nie chodziło o jakieś złe gospodarowanie! Pretekstem było pochodzenie mamy z patriotycznej rodziny Wojewskich. Ale być może chodziło zwyczajnie o to, że wójt Luzina chciał w ten sposób brata jako producenta żywności ratować przed wojskiem i frontem, a przy okazji dobrze urządzić. Dał mu nawet wybór: mógł sobie wziąć znacznie większe gospodarstwo, i z lasem, należące do dziadka, Michała Wojewskiego w Wielkim Lesie, albo to mniejsze w Białej Rzece. Wybrał Białą Rzekę, bo tu dom był murowany, kryty dachówką, był też prąd i studnia zaraz przy domu...

To w tym czasie odbywała się jakaś większa akcja okupacyjnych władz i nie tylko tę jedną wielodzietną rodzinę tak potraktowano. Właścicielka resztówki dawnego dużego majątku w Pieleszewie, wdowa o nazwisku Schulz, musiała pod dach tzw. pałacu przyjąć aż trzy obce polskie rodziny. Poza nami byli to Grabowie i Guzikowie z Redy. A młody Rühlmann nawet przy tej przymusowej przeprowadzce ujawnił swój wredny charakter. Wyklócał się o każdy drobiazg, który wolno było zabrać ze sobą do owego Pieleszewa. Bo meble musiały zostać, ale rzeczy osobiste nie... Swoją drogą długo nie cieszył się z tego, że został panem na gburstwie w Białej Rzece. Zupełnie nie radził sobie z pro-

wadzeniem gospodarstwa, a kiedy wybuchła wojna ze Związkiem Radzieckim, i tak został wysłany na front. Ponoć zginął gdzieś w Rosji jak wielu innych... A gospodarstwo przejął po nim inny „treuhänder”, Muhsal.

Tak, Grześ pamiętał drabiniasty wóz z ubraniami, pościelami, sprzętem kuchennym i też kilkoma zabawkami. I półbryczkę, którą powoził Pionk. Wozy i konie musiały wrócić do Białej Rzeki, a rodzina rozpoczęła kilkuletni pobyt na poddaszu pałacu w Pieleszewie. Nie byli u siebie, żyli biednie, jednak kiedy przyszło lato, pobliskie otoczenie okazało się nawet przyjemne. Wprawdzie część starego parku była zapuszczona, pełna dziko rosnących krzewów i pokrzyw, jednak zaraz za łączką płynęła rzeka Reda z przezroczystą wodą i białym, piaszczystym dnem. Można było patrzeć na ławice ruchliwych rybek, kąpać się, bawić z rodzeństwem i rówieśnikami od Cirockich i Lesnerów, którzy mieszkali w dawnych oficynach dworskich. To w mieszkaniu na strychu pałacu na świat przyszła Genia, najmłodsza siostrzyczka.

- A rzeczë mie, mëma, czemu më tam nie gòdelë pò kaszëbskù ani tész pò pòlskù, le pò niemieckù, chòc Niemcë nas tak skrzywdzelë? Nawet na mie wa wòłała Grégor... (A powiedz mi, mamó, dlaczego myśmy tam nie rozmawiali po kaszubsku ani też po polsku, tylko po niemiecku, choć Niemcy nas tak skrzywdzili? Nawet na mnie wòłaliście Gregor...)

- Bò bël òstri przimùs gòdaniò leno pò niemieckù! (Bo był ostry przymus mówienia tylko po niemiecku.)

Ten przymus niemieckie władze wprowadziły od samego początku okupacji. Włączyły dawny zabór pruski do Reichu, zniemczyły nazwy miejscowości nawet bardziej niż to było podczas zaborów. Dla Gdyni dawna nazwa niemiecka Gdingen to im było za mało i Hitler osobiście nadał miastu zupełnie nową nazwę Gotenhafen, czyli port Gotów. Zniemczono wszystkie nazwy ulic, zakazano używać polskiej czy kaszubskiej mowy nawet w domach i nawet co do imion. Ba, kiedy Mundek poszedł do kościoła w Redzie się wyświadać, ks. Wiczánowski, choć go wyświadał po polsku – ale nie w konfesjonale, tylko w zakrystii – potem jednak wyraźnie przykazał, że następnym razem musi się spowiadać po niemiecku.

Tego Grześ już teraz nie pamiętał, ale mama przypomniała, że jeszcze w Białej Rzece, kiedy tam zamieszkał u nich ów młody Rühlmann, tata wziął dzieci za stodołę i pouczył, że dopóki nie nauczą się słów po niemiecku, mają tylko słuchać i milczeć. Dlaczego? Bo pewien niemiecki urzędnik wcześniej uprzedził go, że mimo niemieckiego nazwiska może mieć grube nieprzyjemności, włącznie z odebraniem gospodarstwa. Więc teraz tata pokazał dzieciom gruby pas... Jak już o tym była mowa, parę miesięcy później i tak gospodarstwo zabrano. A Grześ i Kazik milczeli przez tydzień, potem po trochu zaczęli najpierw po niemiecku wypowiadać pojedyncze słowa, z czasem zdania... W Pieleszewie

mówili już całkiem płynnie. Starsze rodzeństwo obejmował obowiązek szkolny, a w redzkiej szkole surowy Papenfuß już pilnował, by nawet na przerwie mówiono tylko po niemiecku. Dwaj smutni panowie w ciemnych płaszczach, którzy pofatygowali się na strych pałacu w Pieleszewie na kontrolę, nie mieli zastrzeżeń. Choć wzięli maluchy na kolana i zagadywali po polsku, żaden nie pisał „zakazanych” słów. Pamiętali ojcowskie pouczenie...

- Nē, tej jak to sã stało, że terò znów wszëtcë godómë pò kaszëbskù i pòlskù, a z niemiecczégò pamiãtóm leno niejedné słowa? (No i jak to się stało, że teraz znów wszyscy mówimy po kaszubsku i polsku, a z niemieckiego pamiętam tylko niektóre słowa)

- To ja tobie znów odpowiem po polsku, bo pani nauczycielka albo pan kierownik też ciebie o to mogą spytać.

Pewnie pamiętasz, że z dworku w Pieleszewie po paru latach kazano nam się wynosić, bo tam miał być rezerwowy wojskowy lazaret. I że zamieszkaliśmy u dziadków w Wielkim Lesie. Tam, na luzińskie pustki, nikt nie chodził na językowe kontrole i w swoich domach, kiedy nie było nikogo obcego, mówiło się po kaszubsku. A znów codzienne modlitwy i różaniec, który odmawialiśmy razem z dziadkiem, były zawsze po polsku. Jak było w kościele? Luziński kościół w czasie okupacji był w ogóle zamknięty. Wszystko po niemiecku mieliście tylko w szkole w Luzinie, to już na pewno ty też pamiętasz, bo zaczęłeś chodzić do I klasy. Jak przyszli Rusczy, myśmy z tatą znów zabronili wam mówić inaczej niż po kaszubsku, czyli tym razem nie mieliście gadać właśnie po niemiecku. Bo Rusczy szukali Germańców, jak to oni mówili, i nawet ich zabijali... A kiedy nastąpiły polskie władze, też bardzo źle patrzono na ludzi mówiących po niemiecku. Gdy w kwietniu 1945 roku wróciliśmy do Białej Rzeki, to tam już nie było ani oczywiście „treuhänderów” – na naszym gburstwie ostatnim był Strehlau – ani kilku gospodarzy, którzy tam mieszkali od dawna, takich Flemmingów czy Bartschów. Uciekli! Okazało się, że z obawy przed Iwanem, bo tak Niemcy nazywali Rosjan, uciekł też ks. Wiczanowski, redzki proboszcz... A wyście już w maju i czerwcu polskiego języka uczyli się w szkole. W Redzie, bo po szkole w Białej Rzece został tylko ogromny dół, możesz go jeszcze teraz oglądać. Po polsku znów jest przecież w kościele, po polsku odmawiasz codzienne paciorki. No i jak tak lubisz czytać, to jesteś jak gąbka, która szybko nasiąka... Mówisz, że już prawie nie pamiętasz niemieckiego? Cóż, człowiek pewne rzeczy szybko zapomina, jeśli ich nie używa. A teraz ze swoim niemieckim nazwiskiem też musimy się pilnować, bo są na urzędach ludzie nie stąd, którzy by chętnie na nasze gburstwo wsadzili kogoś swojego, choć zabudowania zostały wypalone podczas walk w marcu 1945 roku. Na tych ponemieckich gospodarstwach już siedzą jakieś Antki... Opowiadał mi Pionk, jak to niedawno w Gdyni szofer wyrzucił jego z siostrą z taksówki, bo ze sobą po kaszubsku rozmawiali. Powie-

dział taksówkarz głupek, że nie będzie woził hitlerowców...

Pamiętaj, synku, byliśmy i jesteśmy Kaszubami, katolikami i Polakami! Tego się trzymaj! O tym zamieszaniu z językami możesz też w skrócie napisać panu kierownikowi, ale nie wspominaj o Antkach i taksówkarzu z Gdyni. Może by się pan kierownik sam nie obraził, bo znamy się jeszcze z czasów przed wojną, był wtedy nauczycielem w Białej Rzece. Ale jeżeli zbiera materiały do kroniki, ktoś inny może to przeczytać, czuć się urażony i mścić. O Ruskach lepiej też nie wspominaj. Nie chcemy nowych kłopotów, bo mamy dość swoich trudnych spraw. Stodoła, chlewy popalone, jest was sześcioro do wyżywienia i ubierania, nie mamy do pomocy żadnej Jadźki czy Anki, a i tak w gazetach piszą o kułakach... Dobrze, że Mundek, Renka i Elka, a nawet ty z Kazikiem, możecie już pomagać tacie i mnie. Jak wiesz, do większych robót przy sianie, żniwach, kartoflach czy burakach po starej znajomości przychodzą sąsiedzi. Za to chcą od taty kartofli, zboża czy słomy albo też konia pożyczyć. Albo pieniędzy. Tata sprzedaje po kawałku ziemię, żeby jakoś przetrzymać. Tak sobie myślę, że to też nie będzie interesować twojej pani ani pana kierownika. Może po latach, kiedy już będziesz, synku, dorosły, dopiero wtedy ktoś będzie ciekawy nie tylko wojny, ale też tego, jak się w Polsce żyło zaraz po II wojnie światowej. Chociaż, jak znam życie, ludzi zawsze głównie interesuje dzień dzisiejszy...

Mówisz, że Sienkiewicz by w swoją opowieść włączył coś „mocnego”. Ja kiś atak polskich ułanów na niemieckie czołgi? No, nie wiem... On w swoich powieściach opisywał czasy, od których minęło kilkaset lat, chciał krzepić serca i mógł fantazjować, a ty przecież masz pisać prawdę do kroniki. Tutaj u nas w 1939 roku nie było ani polskich ułanów, ani niemieckich czołgów. Zresztą czytałam, że to Niemcy nakręcili filmik, jak durni Polacy rzucają się z szabłami na ich „pancyr”. Że niby dali się oszukać, bo wcześniej niemieckie kroniki pokazywały, że Wehrmacht ćwiczy na czołgach z dykty. Prawdziwe czołgi w naszych stronach zobaczyliśmy dopiero w marcu 1945 roku. Sam mi wtedy opowiadałeś o spalonym niemieckim czołgu w rowie, i o kilku czołgach ruskich, pędzących szosą pod Nowym Kębłowem w stronę Wejherowa. No, ale teraz mamy wrzesień, rocznicę wybuchu wojny i twoją szkołę interesują Niemcy i okupacja, a nie wyzwolenie i Rosjanie. Tej na tim, synku, możemy skończyć. (Więc na tym, synku, możemy skończyć)

NOTKI

1. RAFAŁ BARON, poeta z Trójmiasta, niedawno wydał tomik pt. *Listy do nienarodzonego dziecka*. Jest tłumaczem, wykładowcą, krytykiem muzycznym. Laureatem wielu konkursów poetyckich...

Rafał Baron

Tłumacz, wykładowca, krytyk muzyczny. Laureat konkursów poetyckich, m.in. im. K.K. Baczyńskiego, R. Wojaczka, K. Rationia, o Laur Czerwonej Róży, Krajobrazy Słowa, Połowy Poetyckie; nominowany dwukrotnie do nagrody głównej OKP im. Jacka Bierezina w 2009 i 2010.

Publikacje w m. in. w Autografie, Obrzeżach, Arkadii, Frazie i antologiach pokonkursowych.

Autor dwóch tomów wierszy - „Listy do nienarodzonego dziecka“ (2011) i „Film“ (2013).

Rafał Baron. Urodzony w Trójmieście. Tam mieszka i pracuje. Tłumacz, wykładowca, krytyk muzyczny. Laureat i zwycięzca konkursów poetyckich (m.in. im. R. Wojaczka, im. K. Rationia, im. M. Czychowskiego, im. J. Śpiewaka i A. Kamieńskiej, Nadnyskich Spotkań Literackich, dwukrotnie O Laur Czerwonej Róży, Krajobrazy Słowa, dwukrotnie im. K.K. Baczyńskiego, w tym w 2011 - zwycięzca, Malowanie słowem). Dwukrotnie nominowany do nagrody głównej w konkursie im. J. Bierezina - w 2009 i 2010. Publikował w „Autografie”, „Obrzeżach”, „Biuletynie”, „Arkadii”, „Frazie” i antologiach pokonkursowych. Opublikował tomy wierszy *Listy do Nienarodzonego Dziecka* (Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego, Łódź 2011) i *Film* (Teatr Mały, Tychy 2013) Pierwszą nagrodę zdobył 39-letni gdańszczanin Rafał Baron - tłumacz, wykładowca, krytyk muzyczny. Baron jest weteranem poetyckich konkursów, także łódzkich. Był nominowany do Nagrody im. Jacka Bierezina w 2009 i 2010 r. Jego wiersze docenili też jurorzy Konkursu im. Baczyńskiego w 2007 roku, przyznając autorowi wyróżnienie. Dobra passa Barona trwa. Kilka tygodni temu w Kędzierzynie-Koźlu zajął drugie miejsce w 18. edycji Krajobrazów słowa. Poezja Barona spotkała się z dobrym przyjęciem Marty Fox, Jacka Podsiadły i Karola Maliszewskiego.

Twórczość Rafała Barona jest od pewnego czasu coraz bardziej zauważalna. W 2011 ukazał się jego pierwszy tomik pt. „Listy do nienarodzonego dziecka”. Na plecach okładki m.in. cenne spostrzeżenie Tomasza Cieślaka: „To przejmująca opowieść o budującej się relacji z kimś bardzo bliskim, choć jeszcze nieznanym.

Opowieść o teraz - i o przyszłości ledwie przeczualnej. Najprościej - wiersze o tajemnicy życia i o spotkaniu z drugim. Obrazowa, gęsta, niepokojąca poezja”.

Podzielał w pełni to zdanie. Sam nazwałbym tę poezję przede wszystkim „filozoficzną”. Ten tomik ma wysoki walor intelektualny wsparty na fundamencie „żywiotu metafizycznego”, a więc tej wielkiej zagadki o istocie, prawdzie i teleologii życia. Leszek Żuliński

4. Rafał Różewicz

Autor tekstów poetyckich, recenzji oraz artykułów o najnowszej poezji polskiej. Publikował m.in. w „8. Arkuszu Odry”, „Arteriach”, „Pomostach”, „Szafie”, „Redzie”, „Fragmencie” i na stronie Fundacji im. Tymoteusza Karpowicza. Redaktor działów „Nowe książki” i „Kronika literacka” w czasopiśmie „Inter-Literatura-Krytyka-Kultura”. Trzykrotny laureat TJW im. Rafała Wojaczka we Wrocławiu. Obecnie mieszkaniec tego miasta.

6. Sławomir Płatek

Debiutował w prasie (Dziennik Bałtycki) w 1995. Na początku lat 90. związany z trójmiejską grupą poetycką „Almanach”. Po jej rozpadzie epizodycznie komunikował się z lokalnymi podziemnymi zjawiskami, jak „Manufaktura Poetycka Grubikopiternik”. Reaktywowany przez nierozpoznane czynniki po roku 2006. Współzałożyciel portalu i stowarzyszenia Salon Literacki, publicysta. Drukowany w prasie literackiej i antologiach. Autor książek poetyckich „Bez imienia” (2010), „Prześwietlenie” (2011 pod pseudonimem Anna Kalina Modrakis) i „awaria migawki” (2012). Oprócz wielu wierszy i kilku próz jest także autorem niniejszej notki o sobie samym.

Sławomir Płatek, ur. 1974

Dorobek twórczy: cztery zbiory poezji: Bez imienia (2010), Prześwietlenie (pod pseudonimem Anna Kalina Modrakis, 2011), awaria migawki (2012) i Wiersze dla Sophie Marceau i innych kobiet z którymi spałem (2013).

7. Krzysztof Martwicki

Urodziłem w 1965 r., a mój dorobek twórczy to dwa tomiki poetyckie, kilkadziesiąt artykułów (dotyczących m.in. historii lit.), nagrody i wyróżnienia w konkursach poetyckich i prozatorskich.

Pozdrawiam serdecznie

8. Elżbieta „Grzanka” Oyrzanowska

Ewa Matuszewska, Po mojemu, blog

Grzanka robiła i robi dobre zdjęcia, teraz bloguje. Też nieźle. **Fot. Elżbieta Oyr-**

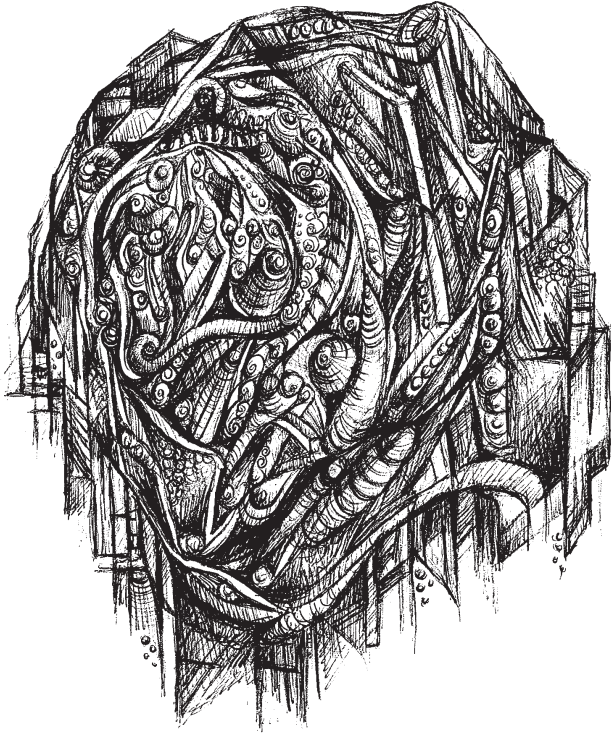
grzanowska

Grzanka, moja przyjaciółka z zamierzchłych, studenckich czasów odnalazła się w pisaniu. Podczas studiów dziergała kamizelki, szaliki i różne takie cudeńka z włóczki, po studiach popadła w filmową przygodę, przy okazji wyszywając patchworki niczym kolorowe obrazy. Zaliczyła też redakcje prasowe i pracę w Fundacji Batorego. Potem nastąpił przykry czas choroby, ale nie dała się jej. Cały czas coś tam pisała, niekiedy dając mi swoje teksty do oceny. Typowy sekretarz redakcji, również z charakteru, zawsze znajdowałam przecinek nie na swoim miejscu albo złą odmianę przez przypadki. Grzanka trochę dziecinnie obrażała się, ale poprawiała błędy. Tylko że coraz rzadziej dawała mi coś do przeczytania. Po przeniesieniu się do Zakopanego nie miałam zbyt wielu okazji do spotkań z Grzanką, ale gdy tylko przyjeżdżałam do Warszawy, zawsze znajdowałyśmy dla siebie czas. Do Zakopanego trudno było jej się wybrać, sprawy warszawskie wsysają ludzi jak gigantyczny odkurzacz. W tym roku, pod koniec sierpnia, udało jej się przyjechać zaledwie po raz trzeci w ciągu dwunastu lat. Zaliczyłyśmy obfitą i pyszną kolację w Karczmie przy Młynie, w Samancie – lunch na słodko.

Lało niemal codziennie, 1 września woda zalała piwnicę i kocioł centralnego ogrzewania. Straż pożarna miała trochę roboty, a ja w końcu kupiłam pompę głębinową. Tak więc podziało się sporo. Jednak co najważniejsze – Szymon Biały, mój korepetytor komputerowy, pomógł Grzance założyć bloga. W blogowaniu debiutowała pośrednio nieco wcześniej, na moim blogu umieściłam jej sugestywną opowieść o upale w Warszawie. Teraz ma własne poletko do uprawiania. Życzę Ci Grzanieczko satysfakcji z pisania i wielu czytelników. Dobrze jest pisać dla kogoś, ale i dla siebie również. Zobacz: wedluggrzanki.blox.pl

Ewuniu, to najpiękniejszy prezent urodzinowy. Jedyny, bo poza bratem i bratową nikt nie pamiętał. Życie zaczyna się po sześćdziesiątce. Jeśli jeszcze trwa to cudownie, bo człowiek mniej napięty. Wie już wiele i wie, że ambicje na nie wiele się przydadają. Zamiast ambicji działanie co przynosi rezultaty. Za tydzień zaczynam Creative Writing w Krakowie i to się liczy. Czytam. Piszę. Oglądam polską klasykę na laptopie. Zatrzymuję obraz i patrzę. Ile tego dobra. Łomnicki w „Niewinnych Czarodziejach” do zjedzenia. Piękny Twój tekst o Coco. Wzruszający. Obecna kotka jest prawie oswojona a producentka niezła. Widziałam jak karmisz je. To wzruszające. Chętnie wzięłabym jednego czarnego kotka ale one wolne jak wiatr. Śnił mi się kot w nocy. Też był wolne. Rudy olbrzym.

Powodzenia, Grzanka



Do druku przygotowała
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU
www.biblioteka.lebork.pl

Rysunki
Anna Kotkiewicz

ISBN 978-83-60731-16-1

Wydano nakładem:

Miasta Lęborka

Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

Projekt składu i druk

DRUKARNIA BOXPOL

ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk

tel./fax 59 842 43 71

e-mail boxpol@post.pl

www.boxpol.pl